



wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok VI

Łódź, 10 lipca 1949 r.

Nr 28 (207)

Stefan Ignar

OFENSYWA NA FRONCIE KULTURY *)



„Konieczna jest na całym froncie kulturalnym — ofensywa w kierunku upowszechnienia i udostępnienia kultury dla całego narodu”.

KULTURA MAS PRACUJĄCYCH

Przemówienie Prezydenta Bieruta we Wrocławiu w listopadzie 1947 roku wzbudziło entuzjazm wśród wszystkich działaczy kulturalno-oświatowych, a szczególnie u działaczy chłopskich. My bowiem pracujemy na tym najbardziej zarosniętym i wyschniętym ugorze, jaki istnieje dotąd na wsi jako haniebną spadkobierstwo po niewoli pańszczyźnianej i kapitalistycznej. Bezwrotnie minął okres, kiedy to niemal w pojedynkę wielu z nas prowadziło szarym, dzwignąjąc na plecach książki i gazety do dalekich wsi i unikając starannie spotkania ze stróżami ciemnoty i wyzysku, z granatową policją. Stało się teraz jasne dla nas, że Państwo Ludowe po ogarnięciu planem życia gospodarczego stworzy plan likwidacji ciemnoty i zacofania kulturalnego.

Nadzieje nasze szybko się spełniają. W ciągu roku od wysunięcia hasła ofensywy na froncie kulturalno-oświatowym został opracowany szczegółowy plan akcji oraz powstała organizacja, która ma wykonać postawione zadania.

Pierwszą praktyczną decyzją było powołanie do życia Komitetu Upowszechnienia Książki, który w krótkim czasie wydał kilka milionów egzemplarzy najlepszych książek i rozprowadza je w cenie 100 zł. za tom oraz założył tysiące bibliotek gminnych i gromadzkich.

Drugim — zasadniczym krokiem — było powołanie w końcu ubiegłego roku Głównej Komisji do Spraw Kultury, która stanowi naczelny organ pracy kulturalno-oświatowej.

Równocześnie z obmyśleniem planu organizacyjnego i mobilizacją sił do ofensywy kulturalno-oświatowej idąc za wskazaniem Prezydenta Bieruta, działacze oświatowi i kulturalni poddali rewizji pokutujące dotąd fałszywe i elitarne poglądy na stosunek twórców do mas pracujących i na rolę zespołów amatorskich. Została także wykonana odkrywcza praca w dziedzinie właściwego rozumienia i oceny kultury ludowej. Praca w tej dziedzinie wiąże się ściśle z wyjaśnianiem istoty patriotyzmu mas pracujących Polski, który jest ściśle zespolony z międzynarodową solidarnością robotników i chłopów w walce przeciw wyzyskiwaczom i podlegaczom wojennym. Takie rozumienie patriotyzmu ugruntowało się ostatecznie w zdecydowanej walce narodów o pokój przeciwko rządowi imperialistycznym, przygotowującym nową wojnę.

Do zrozumienia wartości kultury ludowej przyczyniły się dwie wielkie imprezy: festi-

wal zespołów świetlicowych Związków Zawodowych zorganizowany w ubiegłym roku we Wrocławiu i tegoroczny festiwal muzyki ludowej, zorganizowany przez Polskie Radio, Ministerstwo Kultury i Związek Samopomocy Chłopskiej.

Po festiwalu muzyki ludowej ukazało się wiele artykułów napisanych przez czołowych działaczy kulturalno-oświatowych. Starano się tam wyciągnąć wnioski ogólne, jak organizacyjne, na które winniśmy zwrócić uwagę.

„Stwierdzenie wielkiej wartości sztuki ludowej jako niewyczerpanego ożywczego źródła sztuki i kultury narodowej należy dziś do „truizmów” czyli pewników.

„Bogata sztuka ludowa to dziś niezawodna broń przeciw kosmopolityzmowi. W folklorze polskim kompozytor znajdzie bliskie sobie narodowe motywy dla dalszej twórczości, plastyk tematykę, świeżość i oryginalność kompozycji, śmiałą fantazję w układzie kolorów”.

(Jadwiga Siekierska „Kuznica” Nr 24 z dnia 14 czerwca).

W tym samym nr-ze „Kuznicy” pisze jedna z inicjatorek festiwalu, Zofia Liśsa:

„Festiwal muzyki ludowej zaczął wielkie dzieło rozbicia nieufności, które — co tu mówić — zawsze jeszcze ciąży na wzajemnym stosunku wsi i miasta. Rozbicia kompleksu niższości wsi w stosunku do miasta i tego stosunku „poklepywania po ramieniu”, z jakim często miasto odnosiło się do kultury

wsi. Festiwal udowodnił ludziom wsi, że ich wartości kulturalne są wartościami całej Polski, i z tym uczuciem rozjeżdżali się uczestnicy festiwalu, z tym uczuciem wieś polska słuchała przez głośniki naszych oklasków. I uczucie to wyda swoje owoce.”

W nr 25 „Wsi” z dnia 19 czerwca br. ukazał się wstępny artykuł wiceministra Sokorskiego pt. „O właściwym stosunku do sztuki ludowej”, w którym autor przed postawieniem wniosków organizacyjnych stwierdza: „Sztuka ludowa i sztuka naszej rzeczywistości wiąże się z sobą w silne bezpośrednie doznania, w silny wyrazu sztuki głęboko narodowej i jednocześnie głęboko ludzkiej sztuki, będącej bezpośrednim wyrazem człowieczych trosk, radości, szczęścia, pracy, trudu, walki i triumfu zwycięstwa.

Zbieżność pieśni ludowych i pieśni masowych proletariatu to nie zbieżność formalna i nawet nie zbieżność tematyczna. To zbieżność sztuki tętniącej życiem dni naszych, uczuć naszych i walki naszej. To zbieżność dynamiki naszych czasów”.

„Na wiecznie żywe, nieskończone piękno sztuki ludowej musimy rzucić twórczą myśl naszych czasów, wskazując kierunek i metodę rozwiązywania zagadnień.

I to są elementy naszej walki o przyszłość obliczonej socjalistycznej kultury Polski Ludowej”.

Z przytoczonych, zgodnych z sobą, wniosków, określających wartość i rolę kultury ludowej można już zbudować fundament planu naszej pracy kulturalnej na wsi. Musiało upłynąć kilka lat od czasu, jak Jan Aleksander Król rozprawiał się na łamach „Wsi” z chłopomańskim wypaczeniem kultury ludowej, aby dojść do sedna sprawy i odnaleźć wartość samej kultury ludowej.

Powoli kształtuje się także kierunek krytyki i treści dzieł literackich po zdemaskowaniu schyłkowych upodobań i nalogów

GEORGI DYMITROW



Georgi Dymitrow

2 lipca zmarł wybitny działacz międzynarodowego ruchu robotniczego, przewodniczący Rady Ministrów Bułgarskiej Republiki Ludowej, Sekretarz Generalny Komitetu Centralnego Bułgarskiej Partii Komunistycznej, Georgi Dymitrow. W zmarłym światowy obóz demokracji i postępu stracił jednego ze swych najwybitniejszych działaczy.

„Urzednik policji Heller cytował tu wiersz komunistyczny, zamieszczony w książce, która ukazała się w roku 1925, aby dowiedzieć, że w roku 1933 komuniści podpalili Reichstag. Pozwól sobie również zacytować tu wiersz, ale wiersz największego niemieckiego poety Goethego:

Ucz się w porę mądrym być,
Na ogromnej szczęścia wadze
Rzadko szale tkwią w bezruchu;
Musisz wznosić się lub padać,
Musisz rządzić i zwyciężać,

Albo służyć i przegrywać,
Cierpieć albo triumfować,
Młotem lub kowadłem być.

Tak, kto nie chce być kowadłem, musi być młotem! Prawdy tej ogół niemieckiej klasy robotniczej nie rozumiał ani w roku 1918, ani w roku 1923, ani 20 lipca 1932 roku, ani w styczniu 1933 roku. Winni są temu przywódcy socjaldemokratyczni — Welsy, Severingi, Brauny, Leiparty i Grassmanny. Teraz robotnicy niemieccy zdolają to chyba zrozumieć!

Mówiono tu wiele o prawie niemieckim. Chciałbym również wypowiedzieć swoje zdanie w tej kwestii. Jest rzeczą niewątpliwą, że na postanowienie każdego sądu wpływają zawsze polityczne konstatacje, istniejące w danej chwili, i panujące tendencje polityczne. Minister sprawiedliwości, Kerrl jest dla sądu kompetentnym świadkiem. Cytuję go: „Przesąd liberalnego prawa formalnie polega na tym, że bożyszcem sprawiedliwości winien być obiektywizm. Tutaj właśnie dostrzegliśmy do źródła obojętnej między narodem a sądownictwem i winę tej obojętnej ponoszą koniecznie koncowe zawsze organa sprawiedliwości. Albowiem czym jest obiektywizm w chwili walki narodu o swe istnienie? Czy żołnierz, który walczy, czy armia, która toczy boje, wie coś o obiektywizmie? Żołnierz i armia wiedzą tylko jedno, znają tylko jedną wytyczną, jedno zagadnienie: to jest sposób mogę uratować wolność i honor? Jak mogę uratować naród? Tak więc jest rzeczą samą przez się zrozumiałą, że organa sprawiedliwości narodu walczącego na śmierć i życie nie mogą uprawiać kultu martwego obiektywizmu. Zarządzenia sądu, prokuratury i adwokatury winny być podyktowane tylko przez jeden wzgląd: co sprzyja życiu narodu?”

Nie pozbawiony kręgosłupa obiektywizm, który oznacza bezruch, a tym samym skostniałość, obojętne względem narodu, powinien panować — nie, wszystkie czyny, wszystkie zarządzenia ogółu i każdej jednostki z osobna wchodzi w zakres suwerennych praw ludu, są podporządkowane narodowi”.

(Z przemówienia na procesie o podpalenie Reichstagu).

W NUMERZE

między innymi:

- B. Chęciński — Komunikaty wierszowane.
- J. M. Gisges — Żywa tradycja.
- J. W. Mazurkiewicz — recenzja książki Engelsa, napisana w r. 1846.
- A. Kamińska — W kregu „Niepokoju”.
- W. Leopoldowa — Pamiętnik czy lamus?
- L. Budrecki — Metoda psychologiczna.
- L. Bartelski — wiersz.
- M. Margal — „Ulica Graniczna”.
- K. Treniew — „Lubow Jarowa” (fragm. dramatu).
- P. Czyżowa — Amatorski teatr robotniczy.
- J. Huszcza — Humor i satyra wobec publiczności.
- J. Wojechowski — Kartki z kalendarza.
- L. Kołakowski — Obskuranci wobec nauki.

wielu naszych pisarzy i krytyków — realizując one zasady, że treść do swych dzieł pisarz winien czerpać z pełnego bohaterstwa w walce i budownictwie czynu mas robotniczych i chłopskich i że powinien tak pisać, aby książki jego były czytane przez ludzi pracy i rozumiane przez nich.

Jest jeszcze dotąd niestety wielu takich pisarzy, którzy politycznie deklarują się po stronie Polski Ludowej, lecz twórczość ich wskazuje na to, że nie widzą, ani nie odczuwają walki klasowej, ogradzając się plotem przesądów elitarnych. Dopływ pisarzy, którzy bezpośrednio wywodzą się od warsztatu pracy i z pola walki rewolucyjnej, jak Lucjan Rudnicki i inni, przyczyni się do rozwoju istotnej literatury robotniczo-chłopskiej, powiązanej z masami i służącej masom.

ORGANIZACJA I CZYNNIK NAJWAŻNIEJSZY...

Ostra krytyka J. A. Króla, jaką przeprowadził w stosunku do Kół Młodzieży Wiejskiej i Uniwersytetów Ludowych, jak również inspekcja świetlic robotniczych i festiwal świetlicowych zespołów Związków Zawodowych, wykazały, że praca kulturalno-oświatowa ograniczała się często tak na wsi jak i w mieście do koszlanych imprez widowiskowych i tańców. Natomiast działalność oświatowa, czyli samokształcenie oraz czytelnictwo książek i gazet w wielu świetlicach w ogóle nie miało miejsca. Taki stan pracy kulturalno-oświatowej był sprzeczny z samą jej nazwą, a pochodził z czasów kapitalistycznych, kiedy to dla wyzyskiwaczy, dla fabrykantów i dziedziców pożyteczne było, aby młodzież pracująca wydawała resztki swej energii w zabawie i tańcach lub w „odgrywaniu” bezmyślnych, albo wręcz reakcyjnych „sztuczek”. Przed wojną repertuaru KSM „Strzelca” czy Kół Młodzieży Wiejskiej nie bardzo się różniły. Najbardziej odbiegały od tego programy imprez kół „wiejskich”, które wprowadziły inscenizacje pieśni ludowych, ale i tu nawet już w Polsce Ludowej można było spotkać przedstawienia sztuk wręcz szkodliwych, skoro młodzież nie mogła znaleźć nic lepszego w repertuarze teatrów amatorskich.

Brak smaku i klasowego podejścia do repertuaru przedstawień wiązał się, rzecz jasna, z kompletnym zaniedbaniem pracy oświatowej oraz nastawieniem na niewybredną rozrywkę i łatwy zarobek organizacyjny.

Na polu pracy kulturalno-oświatowej istniał do końca 1948 r. stan bardzo smutny. Każda organizacja społeczna prowadziła pracę kulturalno-oświatową w swoim zakresie, nie troszcząc się o całość potrzeb chłopów i robotników. Praca ta była dublowana przez ministerstwo. Co gorsze, powstał wręcz fałszywy obraz rzeczywistości kulturalno-oświatowej; dochodziło do wydłużania na ten sam cel pieniędzy z różnych źródeł. Wiele np. świetlic było zarejestrowanych jednocześnie w Ministerstwie Oświaty, w Ministerstwie Kultury, w ZSCh i w ZMP. Świetlice te ubiegały się o pieniądze ze wszystkich źródeł i wszędzie składały sprawozdania z tej samej pracy, często fikcyjnej bądź wyolbrzymionej. Urzędnicy z ministerstw i kuratoriów, jak również organizacje społeczne, chcąc się wykazać osiągnięciami — podawały chętnie zgłoszone wyniki jako własne. Podobnie robiło wiele uniwersytetów ludowych. Był to swego rodzaju dziłki handel, połączony z zachwalaniem wątpliwego towaru i ze staroświeckim targowaniem się o subwencję. W praktyce dochodziło do tego, że organizacje kulturalno-oświatowe zgłaszały budżety kilkakrotnie większe, niż mogły wykonać, a władze państwowe skreślały 4/5 zgłoszonych pozycji, pokrywając 1/5 zapotrzebowania i obie stro-ny były zadowolone.

W tym stanie trudno było wyblagać pieniądze na najbardziej celowe i uzasadnione potrzeby społecznym prace kulturalno-oświatowe.

Na szczęście stan ten należy już do przeszłości. Z końcem 1948 r. w dziedzinie kulturalno-oświatowej rozpoczęła się działalność planowa.

*) Fragment referatu, wygłoszonego na Plenum Zarz. Gł. ZSCh. w dniu 21 VI 49 r. (Jadwiga Siekierska „Kuznica” Nr 24 z dnia 14 czerwca).

Przy Prezydium Rady Ministrów powstała Główna Komisja do Spraw Kultury pod przewodnictwem premiera Cyrankiewicza, składająca się z przedstawicieli ministerstw Oświaty i Kultury oraz organizacji, prowadzących pracę kulturalno-oświatową, jak Związki Zawodowe, ZSCH, ZMP, ZNP i inne.

Główna Komisja koordynuje wszystkie prace kulturalno-oświatowe pod względem treści, form i budżetu. Największą rolę w pracy kulturalno-oświatowej wyznaczyła Główna Komisja dwóm masowym organizacjom, a mianowicie Związkowi Zawodowemu i Związkowi Samopomocy Chłopskiej. Te dwie organizacje prowadzą całą pracę upowszechnienia kultury w masach robotniczych i chłopskich, przy jak najwyższym współudziale Związku Młodzieży Polskiej i Związku Nauczycielstwa Polskiego, pod fachową opieką resortowych ministerstw. Jako instytucja poradniowa i badawcza została stworzony z części TUR i TUL Instytut Oświatowy Dorosłych. Agendy pracy terenowej tych starych instytucji weszły do Centralnej Rady Związków Zawodowych bądź ZSCH.

Zgodnie z zasadami, podanymi we Wrocławiu przez Prezydenta Bierut i rozpracowywane w wielu artykułach, referatach i dyskusjach, praca kulturalno-oświatowa nie może rozwijać się w oderwaniu od zadań gospodarczych, produkcyjnych i od przebudowy ustroju rolnego. Musi ona z tego gruntu gospodarczego wyrastać i służyć jako narzędzie wzmagające rozwój produkcji oraz przygotowywać atmosferę przeobrażeń do wyższych form gospodarowania.

Tak, jak określił to wiceminister Sokorski, bezcenny dorobek kultury ludowej ma być

wykorzystany do tworzenia nowej kultury, kultury socjalistycznej. Dlatego musi ustać praktykowane dotąd obrzędowe nabożeństwo sztuki ludowej oderwane od czasu i od życia społecznego, oderwane od walki klasowej. Kultura ludowa nie może się już w naszych czasach rozwijać na bazie analfabetyzmu. Mogą ją rozwijać tylko ludzie piśmienni i czytający, w oparciu o współczesną naukę i technikę. Ludową pieśnią naszych czasów będzie kujawiak o traktorystach, krakowiak o przodowniku w wyścigu pracy na wsi, mazurek o parobku, wyzwalającym się spod ucisku bogacza wiejskiego, pieśń o człowieku przeobrażającym przyrodę i siebie samego. Pieśni te będą tworzyć harmonijny repertuar z krakowiakiem o Jakubie Szeli, z buntowniczą pieśnią chłopów pańszczyźnianych oraz z hymnem z czasów Deczyńskiego „Gdy naród do boju”.

Związek Samopomocy Chłopskiej musi wytworzyć w swej pracy kulturalno-oświatowej nowe treści życia społecznego wsi, jak również ująć tak we właściwe formy organizacyjne nurt pracy kulturalno-oświatowej, żeby można było opracowywać i wykonywać w tej dziedzinie wyraźnie określone plany w przewidzianych terminach.

Jakkolwiek ponosimy główną odpowiedzialność za upowszechnienie kultury na wsi, to jednak nie jesteśmy osamotnieni. Naszym najbardziej bliskim współpracownikiem jest Związek Młodzieży Polskiej i on wniesie najwięcej inicjatywy i treści do prac kulturalno-oświatowych. Ale przecież podeprą nas i partie polityczne, pomogą nam rady narodowe, współdziałać z nami będą władze oświatowe i nauczycielstwo. Wreszcie spółdzielnie gmin-

ne Samopomocy Chłopskiej wyraźnie postawiły w swym statucie popieranie pracy kulturalno-oświatowej. Jeszcze muszę wymienić jednego z głównych sprzymierzeńców w pracy kulturalno-oświatowej na wsi, a mianowicie Centralną Radę Związków Zawodowych oraz Związek Robotników Rolnych. Związki Zawodowe mogą się poszczycić już bardzo pięknymi osiągnięciami w tej dziedzinie, tak w pomocy bezpośredniej, głównie w postaci cennych bibliotek, jak również i w ramach łączności miasta ze wsią. Niewątpliwie Związek Samopomocy nie pozostanie dłużny Związkowi Zawodowemu przynajmniej w dziedzinie występów naszych zespołów w mieście, bo z inwestycjami materialnymi nie będziemy się angażować — jako że jesteśmy biedniejsi od Związków Zawodowych.

Czy nasz aparat i organizacje, które wymieniałem, zdołają upowszechnić kulturę na wsi? Nie, absolutnie nie! Droga organizacyjna nie potrafią tego samego zrobić, choćby wylały ze skóry! Najistotniejszym czynnikiem, który zdoła to zrobić, jest sam lud, są masy młodzieży wiejskiej, kobiet i starszych chłopów. W masach chłopskich, a zwłaszcza wśród młodzieży wiejskiej tkwi olbrzymia siła tęsknoty do oświaty i kultury, tkwi przez wieki gromadzona siła buntu przeciwko upośledzeniu kulturalnemu. Jest to siła żywiołu. Wszystkie natomiast nasze zabiegi organizacyjne mają wyzwolić tę siłę i planowo ją pokierować. Pastuchowi — sierocie, który chodzi po zimnej rosie bądź w skwar- nym upale za ogonami krów bogacza wiejskiego, śni się kurs przygotowawczy do uniwersytetu, inny znowu grając na wierzbo- wej fujarce, marzy o szkole muzycznej. To nie jest deklamacja. Przeczytajcie „Stare

i Nowe” Lucjana Rudnickiego, gdzie autor ten opisuje, jak będąc 8-letnim pastuskiem matczynych gęsi, wydierał z ognia palone przez sanitariuszy księgi po zmarłym na cholerę proboszczu. Przeczytajcie sobie dzieła siatki życiorysów tych pastuchów i parobków, którzy przez kursy przygotowawcze dostali się na politechnikę. Przypomnijcie sobie choćby nasz egzamin wiejskich muzykantów.

Wyzwalać i organizować żywiołowy ruch mas może tylko działacz, ideowiec. Urzędnik organizacyjny nie tu nie robi. Tylko bowiem ideowy działacz społeczny może zrozumieć potrzeby mas ludowych i przodować w pracy, przewidując następne etapy rozwoju i przygotowując dla nich grunt. Dlatego też praca kulturalno-oświatowa ZSCH i wielka ofensywa, do jakiej przystąpiliśmy, nie może być traktowana jako forma urzędowania. Tu musi być działalność, inicjatywa, poświęcenie, których się nie da zmierzyć grupą uposażenia lub ilością godzin nadliczbowych. Nie może ona polegać na formalnym biurowym załatwianiu spraw i interesantów chłopskich. Takie urzędowanie psu na bude się nie zda w ofensywie kulturalno-oświatowej.

Zazady gromadzkie i gminne, prezydja Zarządów powiatowych i wojewódzkich oraz Zarząd Główny ZSCH stoją wobec egzaminu, który wykaże, czy wieś polska ma istotnie ideową masową organizację, czy też reprezentowana jest przez drabinę małodusznych urzędników, oderwanych od mas i nie mających z tymi masami wspólnego języka.

Ja, koledzy, wierzę, że ZSCH jest coś więcej wart i że nie zawiedzie zaufania chłopów i rządu ludowego.

Stefan Ignar

Bronisław Chęciński

KOMUNIKATY W I E R S Z O W A N E

Wiersze Bronisława Chęcińskiego, autora drukowanego niedawno w naszym piśmie poematu „Strajk we wsi Drewnianej” to komunikat z warsztatu nowej literatury mas ludowych. „Tematy do wierszy czerpałem bezpośrednio z życia współczesnego i autentycznych wydarzeń społecznych” — pisze autor w liście do

redakcji. Literatura ta użytkowuje WSZYSTKIE POTOCZNE FORMY SPOŁECZNEGO POROZUMIENIA. Rozwija komunikat radiowy i notatkę dziennikarską, komentuje terenowe sensacje. Forma wierszowa organizuje tu treści bardzo jeszcze artystycznie surowe, heroizuje specyficzne dokumenty świeże-

go triumfu klasowego. Powstaje pieśń o wielkiej zmianie:

„Nie tylko jeden Janek Kaniewski, ale inni jego rówieśnicy

a za nimi całe bataliony od dołu falą popłyną i uderzą w sztukę”.

Mamy prawo i obowiązek zwrócić uwagę pisarzom i działaczom z pola kultury i oświaty na ten nurt potocznej wypowiedzi, który napiera na poezję, dlatego że w nim już wiele momentów walki i zwycięstwa klasowego mocno się osadziło, bogając ten nurt o nową fabułę i formę.

REDAKCJA

DZIECI NIEŚLUBNE

Moja matka miała pięcioro nieślubnych dzieci. Mówili: taka, owaka — i ja, banita praw obyczajowych, rosnę surowo, a ze mną moich czterech braci.

Cieężko było i przykro, i wstyd, a matka nic, tylko często zaciskała w zgrzyt żółtkę zębów i wstając ze słońcem harowała. Harowała dosłownie czarnymi rękami, aby jej nieślubni, mali proletariusze, mieli choć po tej kromce chleba, gdy z barłogu wstaną.

Czas się z nami nie pieścił, traktował nas wrogo, a myśmy jakoś rośli i rosnąć nie bardzo wierzyliśmy w Boga. Bo jakże można pozwolić na krzywdę biednych dzieci i jak takiemu Bogu może słońce świecić.

Mówili na nas: komuniści, nie było miejsca w życiu dla dorastających, więc przyginaliśmy swoją młodość. Szkoła? Tak, w szeregach bezrobotnych lub strajkujących.

A dzisiaj taki pan Kołtuński zgrzyta zębami, lub dla odmiany zjadliwie się uśmiecha.

Milcz Kołtuński i nie pchaj nieczystego dzioba, myśmy przenieśli ci twoje czarne sumienie. Nowa Polska nie musi się tobie podobać, a pieścić siebie w myślach, nie udawaj, że troszczysz się o jej zbawienie.

Właśnie nadchodzi i dzień sprawiedliwy nam niesie: dla wszystkich nieślubnych dzieci znajdzie się w niej sprawiedliwe miejsce.

I matką moją ta Polska nie pogardza i ma czas, by szacunkiem jej czarne ręce obdzielić.

I N A C Z E J

Spotkano w 1945 we Wrocławiu człowieka, który patrząc na dymiące mury, ironicznie pod nosem się uśmiechał:

I któż to odbuduje, kapitału trzeba, bo kapitał dać może pracującym chleba.

Potrząsnął magicznym słowem „Ameryka” i odszedł. Machnięcie jego ręki zawisło w powietrzu.

Jakoś po małych trzech latach widać ślady ruinoburczej pracy.

Bez cudotwórczości amerykańskiego kapitału, wznoszą ze śpiewem, piętro po piętrze, młodzi, junacy, a starzy ludzie po trochu im pomagają.

I rośnie nowy Wrocław, i rośnie nowa Warszawa, sięgają młodzi po życie.

LOT NAD POLAMI

„Największe zainteresowanie lotnictwem wykazuje młodzież wiejska”,

mówi komunikat prasowy.

„Obecnie szkolić się ona może na kursach Przysposobienia Lotniczego w Rządowie.

Na sterach samolotu trzymając ręce od pokoleń do pługa nawykłe, pewnikiem, szybując międzychmur, będą strzelać chłopskimi oczami na pola i między znajome opłotki. Ładować sercem na łąkach między polami, a lecać, równocześnie skrótą drogi między miastami.

Dzięki temu zbliżą się miasta do wsi i ta kultura, której trudno się było przedrzeć za miejskie opłotki, stanie się najpowszechniej obywatelowi płaconym podatkiem. (Samoloty nie bomby będą wróżyć, ale upartymi śrubami przewiercając dale, wiedzę czarno na białych drukowaną w księgach, w swoich kadłubach nosząc, rozpowszechniać będą).

E G Z A M I N

Oto stoi przed komisją egzaminacyjną kandydat na artystę, w postaci piętnastoletniego chłopca. W rękach instrument, a na twarzy widać wyraźnie, że reguła sztuki nie są mu już zupełnie obce.

Właśnie w związku z tym nasz Janko Muzykant przeżywa dzisiaj spore światło. Można by się tu patetycznie unieść, ale nie ma potrzeby, bo mimo pewnej niezwykłości, jest to fakt zasadniczo prosty i w długim szeregu przechodzi do historii.

Oto kilkadziesiąt Janków, młodych chłopów i robotników, przyjmuje się dziś do Warszawskiego Konserwatorium. Za lat parę taki Janek Kaniewski zagra Chopina i przypuszczalnie cała Polska będzie go słuchać i może powie, że lepszego pianisty od niego nie ma.

Nie tylko jeden Janek Kaniewski, ale i inni jego rówieśnicy, a za nimi całe bataliony od dołu falą popłyną i uderzą w sztukę i pod wyczulonymi doświadczeniem palcami zamienią ją w powszechną szczęścia naukę, szczęścia, które jak chleb zwykły między nami stanie.

TO NIEPRAWDA, ŻE...

To nieprawda, że człowiek przy blasku gwiazd musi wypruć swe siły, ażeby inny mógł bezkarnie porastać w luksusowy tłuszc. To nieprawda i nie dojdzie do tego, aby się takie rzeczy u nas powtórzyły.

Na wyzysk społeczny nie pozwolimy, i już! Pan Fabrykancki, pan Obszarnicki i pan Kołtuński niechaj też pracują osobiście i rękami, ale uczciwie, bez ciemnych macherek. Jeżeli nie, to niech się wynoszą do jasnej cholery! Kiedy na całym świecie Fabrykanckich, Obszarnickich i Kołtuńskich

dobrze za łeb weźmiemy, to i zbiorowe zbrodnie, organizowane przez nich wojny, znikną z powierzchni czasu i ziemi.

P. S.

Gdyby ktoś stojący z boku nie rozumiał dokładnie o kogo w słowie „my” chodzi, należy go objaśnić: „My” to znaczy my ciałem i duchem młodzi.

Jan Maria Gisges

ŻYWA TRADYCJA

(Z wystawy pamiątek i dokumentów po ks. Ściegiennym)



Ks. Piotr Ściegienny przy pracy
(Portret kredką Włodzimierza Tadeusza Ściegiennego — Kraków 1949)

Nad wystawą pt. „Ks. Piotr Ściegienny na tle epoki” w Kielcach objął protektorat Marszałek Sejmu ob. Władysław Kowalski. W dniu 2 czerwca uroczystie otworzył wystawę minister Wincenty Baranowski. Na uroczystości otwarcia przybyli z Warszawy prezes NKW PSL J. Niecko, sekretarz NKW SL — Józef Ozga-Michalski i sekretarz NKW PSL — Banach, wraz z liczną ekipą dziennikarzy. Tego dnia zwiędził również wystawę naczelny dyrektor Muzeów i Ochrony Zabytków prof. dr St. Lorentz.

Święto Ludowe roku 1949 w skali ogólnopolskiej rozpoczęła w Kielcach uroczystość otwarcia wystawy poświęconej życiu i działalności chłopieckiego rewolucjonisty ks. P. Ściegiennego.

Sprawa ks. Piotra Ściegiennego nie była zwykłą sprawą, skoro władze carskie postarały się o to, aby zniszczyć jej ślady, a samego twórcę spisku zożydzić w obliczu ówczesnych opinii państw europejskich i wobec rodaków.

Historia głośna, która narobiła wiele hałasu w latach 1844—46, na długi okres ścisła, aby nareszcie po stu latach nabrać nowego rozgłosu.

Różni różnie rozumieli postać i działalność chłopca z Bilczy i rozmaite też na przestrzeni tych lat zajmowali stanowiska. Albo opowiadali się po stronie bohatera, albo też odsądzali go od czci i wiary, uważając za zdradę lub zleniawionego wroga szlachty w ogóle.

Do rozwikłania legendy, jaka przechodziła z ust do ust w opowiadaniach starych chłopów we wsiach kieleckich i lubelskich, z których trudno było wyłowić sens pracy Ściegiennego, jak i do właściwego naświetlenia postaci i całej sprawy z punktu widzenia czysto historycznego — przyczyniła się praca badawcza dr. Mariana Tyrowicza, której wyniki zostały ogłoszone w dwóch książkach.*

Pierwsza z nich to monografia historyczna, z ust do ust w opowiadaniach starych chłopów we wsiach kieleckich i lubelskich, z których trudno było wyłowić sens pracy Ściegiennego, jak i do właściwego naświetlenia postaci i całej sprawy z punktu widzenia czysto historycznego — przyczyniła się praca badawcza dr. Mariana Tyrowicza, której wyniki zostały ogłoszone w dwóch książkach.*

Wymienione luki częściowo uzupełnia wystawa kielecka pt. „Ks. Piotr Ściegienny na tle epoki” i katalog tejże wystawy w wydaniu książkowym. Wystawa więc z katalogiem jest dopowiedzeniem, głosem pierwszej książki Tyrowicza o Ściegiennym.

Jeśli w ten sposób spojrzymy na obie książki dr. Mariana Tyrowicza, obraz ruchów rewolucyjnych w latach 1831—48 nabierze żywszych barw, stanie się żyjącą i mówiącą epoką o dość pełnej skali. Wystawa opracowana systematycznie, z wnikliwością i upartością badacza, oparta na metodzie badań socjologicznych, daje obraz prawdziwy, który

*) Marian Tyrowicz, Sprawa ks. Piotra Ściegiennego — Biblioteka historyczna, „Książka”, Warszawa 1948.

Marian Tyrowicz, Katalog wystawy historycznej — ks. Piotr Ściegienny na tle epoki, Muzeum Świętokrzyskie, Kielce 1949.

niewątpliwie zostanie w pamięci każdego, kto go zobaczy i szczegół po szczególe przeanalizuje

Spróbujmy przeczytać tę drugą książkę. Przerzucając jej pierwsze kartki widzimy znane twarze — Lelewela, Mochnackiego, Zwierkowskiego, napotykamy na nazwiska Golicynów, Paskiewiczów, Engelów, przyglądamy się nędzy chłopów uprowadzanych na zesłanie, brakom i karom, które spadały na chłopów za udział w powstaniu 1831 r.

Przebiegamy wraz z autorem myślą przez czas, kiedy radykalne i postępowe, rewolucyjne ugrupowania polityczne zawiązywały się i działały na emigracji, w Królestwie Kongresowym, Galicji, zwracając specjalną uwagę na sprawę włościańską — pańszczyznę, projekty, plany i myśli dotyczące uwłaszczenia. Przechodzimy obok postaci Seweryna Goszczyńskiego, Szymona Konarskiego, Henryka Kamińskiego, Edwarda Dembowskiego, Levitoux, Krajewskiego, Erenberga — jak koło potężnych pomników postawionych pieszczotliwą ręką Klio na ogromnym cmentarzu historii. Przechodzimy ze zdumieniem, że tylu ich było i przechodzimy ze czcią, jak koło mauzoleum.

SZUKAMY ŚCIEGIENNEGO

Wchodzimy w opłotki pańszczyźnianej wsi. Nędzne chaty słomą kryte, mchem zabezpieczone od zimna, w których obora, kurnik i chlew się mieści, stoją beładnie jak wystraszone dziecięta ze zwierzynami czuprynami pośród drzew. Pod niektórymi chatami siedzi w łachmanach chłop i tepo spoziera na błotnistą drogę albo na nogi, na których ma tylko łapcie. Z jakiegoś podwórka słychać krzyki bijących się wyrostków. Owdzie dziewczyna karmi indyki. Z pola dochodzą wrzaski ekonomy, który z nahażką pogania chłopów i baby. Poza wsią „ekonom szlachecki w kontuszu i przy palaszu uprawia dzia z lasu na postronku chłopkę z kagańcem na twarzy, przychwyconą na szkodzie”.

Drogą wiodącą do miasta suną wolno kołmornicy — beznadni chłopcy szukający chleba i pracy. Ci z nich, którzy pracy nie dostaną, zostaną pewnie w mieście — żebrakami.

Zbliża się wieczór. Kilka kilometrów dalej w mroku posuwa się wolno wóz, do którego są zaprzężone woły. Na nim sosenowa, zwykła trumna. Kilka smutnych postaci są wozu. Pogrzeb, który musi się odbyć późnym wieczorem, bo w dzień czasu nie ma na pochówek. Odróbka pańszczyzny w polu nie pozwala na marnowanie dnia.

Z dala na prawo w koronie ogromnych drzew spokojnie dymi jednym kominem pałac dworski. W alejach parku bieleją sylwety wytwornych postaci kobiecych.

Przystanmy, aby się zastanowić nad dolą i niedolą człowieka, który nie był uważany za człowieka, bo człowiekiem wtedy był ten, kto nosił sygnet na palcu i pieczętował się herbem.

Na podstawie ostatnio przeprowadzonych badań przez dr. Jana Pazdurę można określić stan ekonomiczny Kielecczyny, ściślej chłopstwa tego regionu w latach 1846—47, a więc w latach prawie że jeszcze „ściegiennych”.

W roku 1846 gęstość zaludnienia wynosiła na 1 km. kw. 80 osób, podczas kiedy w wieku XIV — zaledwie dwie osoby. Na marginesie należy dla ścisłości zaznaczyć, że obliczenia uwzględniają tylko wieś. Społeczny stan ludności „ekonomii kieleckiej” w 1847 r. przedstawiał się następująco: 500 — szlachty, 5.000 mieszkańców miasta Kielce, 27.000 — chłopów. Społeczny podział ziemi wyglądał w 1847 r.:

4,35% — sołectwa, wójtostwa itp.
0,35% — górnicze
7,87% — folwarki
26% — chłopskie
61,3% — lasy.
Społeczne rozczłonkowanie ludności chłopskiej:

1,5% — koloniści oczyszczowani
2,5% — służba folwarczna
4% — funkcjni (gajowi, drogowi, itp.)
25% — chałupnicy
31% — pełnorolni (od 8 do 10 mórg)
36% — półorolni i ćwierćorolni.

W omawianym okresie tak wyglądały obciążenia chłopów — pańszczyzną na rzecz dworu: chłopci pełnorolni 58 dni sprzążających i 8 dni pieszych w roku, półorolni musieli odrabiać 59 dni pieszych w roku, ćwierćorolni 30 takich dni, zaś wszyscy zagrodnicy płacili 17 zł czynszu rocznie z morgi, 1 — 1,5 zł z morgi miesięcznie, 1 korzec owsa z 4 mórg — osep.

Całość świadczeń chłopów na rzecz dworu przedstawiała wartość 101 zł 21 gr. Na rzecz państwa musieli zagrodnicy, chałupnicy i różni funkcjni chłopcy dawać tzw. subsidium charytatywne, podymne, kontyngent liverunkowy, płacić składki ogniowe i odrabiać szarwark. Zaś chałupnicy posiadający dom bez ziemi byli zmuszeni płacić czynsz dominialny 2 zł 15 gr rocznie, zagrodnicy i chałupnicy odrabiali 8 dniówek rocznie w państwowych zakładach górniczych za połowę zwykłej płacy. Całość świadczeń zagrodników na rzecz państwa średnio wynosiła 30 zł rocznie.

Średni dochód chłopów wynosił 50 zł jako równowartość czynszowa mieszkania bezpłatnego (drzewo na dom otrzymywał chłop

za darmo z lasu), 20 zł — wartość otrzymanego z lasu bezpłatnie drzewa opałowego, 60 zł — równowartość prawa bezpłatnego dopasu bydła, 75 zł — zapłata za 75 dni swobodnego najmu i 114 zł — dochód z roli. Jak z tego zestawienia wynika, roczny średni dochód zagrodnika wynosił 319 zł. Robotnik folwarczny otrzymywał od 80 do 160 zł rocznie z żywienia rodziny. Całość świadczeń chłopów zagrodnika na rzecz dworu i dla państwa miała wartość 131 zł 21 gr, za co można było kupić dwie dobre krowy lub 28 korcy owsa. Na utrzymanie i potrzeby życiowe swoje i całej rodziny zostawało zagrodnikowi 187 zł 9 gr rocznie czyli 16 gr na dzień.

Dział wystawy ilustrujący stan chłopów w pierwszej połowie XIX w. nie uwzględnił rugów chłopskich i „ukazu” Mikołaja I z 1846 roku. Brak omówienia tabel prestacyjnych, ich zastosowania ewentualnie omijania w praktyce. Często bowiem zmniejszano ziemię chłopom, ponieważ geometrzy robiący pomiary, zazwyczaj w zmoiwie ze szlachtą, uszczupiali stan posiadania chłopieckiego, a co za tym szło, wzrastały daniny i pańszczyzna. Fakty te powodowały niezadowolenie ludności wsi, bunt, który mając już tradycje w regionie i ostatnio podminowane agitacją i spiskiem ks. Ściegiennego, wybuchły coraz częściej. Ziarno rzucone przez niego kiełkowało.

BEZPŁATNE OBciążENIA*)

„Urzędowe śledztwo carskie stwierdziło, że w Jachowej Woli (pow. kielecki) w 1842 r. zmuszono chłopów do 2.000 dniówek sprzążających ponad normę. W Sukowie k/Kielc w roku 1840 groźbą bicia dzierżawca Gasiórowska powiększyła pańszczyznę o jedną trzecią. Dzierżawca zakładów górniczych Maurycy Konior w raporcie do urzędu w r. 1842 stwierdza, że dzierżawcy folwarków wymuszają co najmniej podwójną pańszczyznę.

F. Daleszak z Kowali k/Bilczy w 1838 roku odrobił 181 bezpłatnych dniówek”.

W 1843 roku Krajno, w którym było 63% beznolnych, odmówiło w ogóle odróbki nadmiernej pańszczyzny. Każdego kozaka, który przyjeżdżał po czynsz — ściągano z konia, rozbierano do bielejny i puszczano w pola. Władze carskie na skutek powtarzających się stałe incydentów — wysłały 2 rotę piechoty pułku bałajskiego na „pacyfikację”. Rota ta otoczyła wieś, zgonyli wszystkich mężczyzn w jeden kraniec wsi i wymierzili płagi od 10 do 30 każdemu. Kilkunastu chłopów „buntowszczyków” wypędzono ze wsi bez prawa powrotu, między innymi i ściegięńczyka Baltazara Susło.

Oto kilka zaledwie wypadków, które zostały z tych czy innych względów zanotowane przez sądy rosyjskie i które zachowały się w aktach archiwalnych do dzisiaj.

Dnia 31 stycznia 1800 roku w chałupie gajowej Wojciecha Ściegiennego w Bilczy urodziło się dziecko płci męskiej, które ochrzczono Piotrem — opoka. (Potwierdzenie tej daty i miejsca urodzin znajduje się w dokumencie oo Pijarów — z czasów kiedy Piotr Ściegienny występował do zakonu).

Ojciec Piotra nie był chłopem zbyt ubogim i pewnie nie było u niego wielkiej nędzy, skoro później sotył, a tym samym zwolniony od pańszczyzny, mógł wykształcić „na kszedza” jednego syna i na geometrę drugiego. Fascykul archiwalny Archiwum Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu, Wydział Dóbr podaje iż Wojciech Ściegienny posiadał w 1826 r. 6 mórgów i 200 przętów roli, 1 morgę łąk, 4 woły i 2 krowy. Należał do dawnego Dozorstwa Białogóra wchodzącego do „ekonomii dóbr górniczych”.

Poglądy Piotra Ściegiennego nie były oparte tylko na obserwacji życia, na świadomości zych i niesprawiedliwych ówczesnych stosunków społecznych, na cieżciach dokonania zmiany. Radykalizm jego miał swe źródło i we wpływach kolegów ze Szkoły Włodzkiej w Kielcach — późniejszych działaczy i pisarzy, jak Ludwik Królikowski, Antoni Cypryński, Stanisław Ropelowski. Na radykalizm ten wpłynęli niewątpliwie i „współcześni mu i znajomi pijarzy: Puławski — bardziej od Ściegiennego radykalny. Szynglarski, Gacki, Tackowski”.**)

Jako mężczyzna 32-letni zostaje Piotr Ściegienny wyświęcony na kapłana i w kilka lat potem, po kasacie zakonu pijarów — zostaje wikariuszem, kszedzem świeckim w Wilkołazie, gdzie proboszczem był ks. Bartłomiej Sobolewski. W tym czasie najprawdopodobniej zaczyna swa żywą działalność oświatową i polityczną.

Niską, krepą postać księdza w podrudzia. Jej sutannie znali nie tylko chłopcy spod Krasnika, Urzędowa, w parafii Wilkołazkiej, później Chodolskiej, jego małe świderujące oczka znali mieszczańskie ze Szczepieszyna, Hrubieszowa, Radomia i Kielce, jego brzydka, szeroka grubo rytą twarz znali spiskowcy Warszawy, emisariusze Towarzystwa Demokratycznego Polskiego z Paryża, jak Erazm

*) Podane fakty zostały wydobyte przez dr. J. Pazdurę i jeszcze nie ogłoszone drukiem.

**) Relacja Ks. M. Żywczyńskiego.

Zaremba, Związku Narodu Polskiego np. Gerwazy Gzowski z Łęczycy, Celsjusz Lewicki z Lublina, Henryk Krajewski z Warszawy

Dnia 24 października 1844 roku pod Krajnem w samo południe odbył się wielki wiec, na którym ks. Ściegienny wygłosił płomienne przemówienie do licznie zebranych chłopów, mieszczan i kilkudziesięciu postępowej szlachty. Zebranie to było całkowicie niezakonspirowane. Nie było nawet wart wystawionych. Ks. Piotr zbytnio uniesiony zapalem i wiarą w powodzenie spisku przestał zwracać uwagę na wesszące władze carskie.

Z drobnych zachowanych relacji o tym okresie działalności Ściegiennego wynika jasno, że entuzjazm spiskowców i ich przywódcy przyćmił mocno czujność i ostrożność, które winny cechować konspiratorów i stał się przyczyną upadku przygotowywanego powstania chłopieckiego. Zbyt wcześnie został ujawniony cały ruch na terenie Kielecczyny i Lubelszczyzny. Przez poważne braki tej właśnie natury mógł Rychter w Lublinie, Sobolewski w Radomiu i Janie w Kielcach prawie jednocześnie zdradzić nie tylko ludzi, ale i koncepcje polityczne całego rewolucyjnego ruchu.

Postać w podrudzia. Jej sutannie została przez wszystkie trzy stany zdradzona i skazana na zagładę. I nie tylko ona. Przecież pod Krajnem w wiecu brało udział 2.000 ludzi.

Ks. Ściegienny aresztowany!!! — rozniósł się po całej Kongresówce, wywołując albo panikę albo też powodując ucieczki za granicę. Ks. Ściegienny aresztowany — to znaczy upadł spisek.

Na ostatnich kartach książki — wystawy widzimy portrety Marksa i Engelsa, którzy byli obrońcami spraw rewolucji polskiej na zachodzie Europy, znajdujemy sprawy rewolucji chłopieckiej w Chocimowie, tajnego Związku Plebejuszy Polskich, którego twórcą był Walenty M. Stefański i Józef Esman, przewija się rewolucja łutowa w 1846 r. i ruchy chłopieckie w Galicji.

Skąd wyrósł Ściegienny, Stefański, Szela? Skąd wyrastali inni buntownicy, rewolucjonści, których nazwisk historia nie zanotowała? Czy tylko z tradycji walki o wolność, usamowolnienie, o sprawiedliwy ustrój? Czy tylko z ducha epoki, w której taki panował zwyczaj, że trzeba się było buntować?

Przyczyna leżała głęboko na dnie życia społecznego.

W roku 1846 gęstość zaludnienia wynosiła na 1 km. kw. 80 osób, podczas kiedy w wieku XIV — zaledwie dwie osoby. Na marginesie należy dla ścisłości zaznaczyć, że obliczenia uwzględniają tylko wieś. Społeczny stan ludności „ekonomii kieleckiej” w 1847 r. przedstawiał się następująco: 500 — szlachty, 5.000 mieszkańców miasta Kielce, 27.000 — chłopów. Społeczny podział ziemi wyglądał w 1847 r.:

*4,35% — sołectwa, wójtostwa itp.
0,35% — górnicze
7,87% — folwarki
26% — chłopskie
61,3% — lasy.
Społeczne rozczłonkowanie ludności chłopskiej:*

*1,5% — koloniści oczyszczowani
2,5% — służba folwarczna
4% — funkcjni (gajowi, drogowi, itp.)
25% — chałupnicy
31% — pełnorolni (od 8 do 10 mórg)
36% — półorolni i ćwierćorolni.*

W omawianym okresie tak wyglądały obciążenia chłopów — pańszczyzną na rzecz dworu: chłopci pełnorolni 58 dni sprzążających i 8 dni pieszych w roku, półorolni musieli odrabiać 59 dni pieszych w roku, ćwierćorolni 30 takich dni, zaś wszyscy zagrodnicy płacili 17 zł czynszu rocznie z morgi, 1 — 1,5 zł z morgi miesięcznie, 1 korzec owsa z 4 mórg — osep.

Całość świadczeń chłopów na rzecz dworu przedstawiała wartość 101 zł 21 gr. Na rzecz państwa musieli zagrodnicy, chałupnicy i różni funkcjni chłopcy dawać tzw. subsidium charytatywne, podymne, kontyngent liverunkowy, płacić składki ogniowe i odrabiać szarwark. Zaś chałupnicy posiadający dom bez ziemi byli zmuszeni płacić czynsz dominialny 2 zł 15 gr rocznie, zagrodnicy i chałupnicy odrabiali 8 dniówek rocznie w państwowych zakładach górniczych za połowę zwykłej płacy. Całość świadczeń zagrodników na rzecz państwa średnio wynosiła 30 zł rocznie.

Średni dochód chłopów wynosił 50 zł jako równowartość czynszowa mieszkania bezpłatnego (drzewo na dom otrzymywał chłop

za darmo z lasu), 20 zł — wartość otrzymanego z lasu bezpłatnie drzewa opałowego, 60 zł — równowartość prawa bezpłatnego dopasu bydła, 75 zł — zapłata za 75 dni swobodnego najmu i 114 zł — dochód z roli. Jak z tego zestawienia wynika, roczny średni dochód zagrodnika wynosił 319 zł. Robotnik folwarczny otrzymywał od 80 do 160 zł rocznie z żywienia rodziny. Całość świadczeń chłopów zagrodnika na rzecz dworu i dla państwa miała wartość 131 zł 21 gr, za co można było kupić dwie dobre krowy lub 28 korcy owsa. Na utrzymanie i potrzeby życiowe swoje i całej rodziny zostawało zagrodnikowi 187 zł 9 gr rocznie czyli 16 gr na dzień.

Dział wystawy ilustrujący stan chłopów w pierwszej połowie XIX w. nie uwzględnił rugów chłopskich i „ukazu” Mikołaja I z 1846 roku. Brak omówienia tabel prestacyjnych, ich zastosowania ewentualnie omijania w praktyce. Często bowiem zmniejszano ziemię chłopom, ponieważ geometrzy robiący pomiary, zazwyczaj w zmoiwie ze szlachtą, uszczupiali stan posiadania chłopieckiego, a co za tym szło, wzrastały daniny i pańszczyzna. Fakty te powodowały niezadowolenie ludności wsi, bunt, który mając już tradycje w regionie i ostatnio podminowane agitacją i spiskiem ks. Ściegiennego, wybuchły coraz częściej. Ziarno rzucone przez niego kiełkowało.

„Urzędowe śledztwo carskie stwierdziło, że w Jachowej Woli (pow. kielecki) w 1842 r. zmuszono chłopów do 2.000 dniówek sprzążających ponad normę. W Sukowie k/Kielc w roku 1840 groźbą bicia dzierżawca Gasiórowska powiększyła pańszczyznę o jedną trzecią. Dzierżawca zakładów górniczych Maurycy Konior w raporcie do urzędu w r. 1842 stwierdza, że dzierżawcy folwarków wymuszają co najmniej podwójną pańszczyznę.

F. Daleszak z Kowali k/Bilczy w 1838 roku odrobił 181 bezpłatnych dniówek”.

W 1843 roku Krajno, w którym było 63% beznolnych, odmówiło w ogóle odróbki nadmiernej pańszczyzny. Każdego kozaka, który przyjeżdżał po czynsz — ściągano z konia, rozbierano do bielejny i puszczano w pola. Władze carskie na skutek powtarzających się stałe incydentów — wysłały 2 rotę piechoty pułku bałajskiego na „pacyfikację”. Rota ta otoczyła wieś, zgonyli wszystkich mężczyzn w jeden kraniec wsi i wymierzili płagi od 10 do 30 każdemu. Kilkunastu chłopów „buntowszczyków” wypędzono ze wsi bez prawa powrotu, między innymi i ściegięńczyka Baltazara Susło.

Oto kilka zaledwie wypadków, które zostały z tych czy innych względów zanotowane przez sądy rosyjskie i które zachowały się w aktach archiwalnych do dzisiaj.

Dnia 31 stycznia 1800 roku w chałupie gajowej Wojciecha Ściegiennego w Bilczy urodziło się dziecko płci męskiej, które ochrzczono Piotrem — opoka. (Potwierdzenie tej daty i miejsca urodzin znajduje się w dokumencie oo Pijarów — z czasów kiedy Piotr Ściegienny występował do zakonu).

Ojciec Piotra nie był chłopem zbyt ubogim i pewnie nie było u niego wielkiej nędzy, skoro później sotył, a tym samym zwolniony od pańszczyzny, mógł wykształcić „na kszedza” jednego syna i na geometrę drugiego. Fascykul archiwalny Archiwum Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu, Wydział Dóbr podaje iż Wojciech Ściegienny posiadał w 1826 r. 6 mórgów i 200 przętów roli, 1 morgę łąk, 4 woły i 2 krowy. Należał do dawnego Dozorstwa Białogóra wchodzącego do „ekonomii dóbr górniczych”.

*Poglądy Piotra Ściegiennego nie były oparte tylko na obserwacji życia, na świadomości zych i niesprawiedliwych ówczesnych stosunków społecznych, na cieżciach dokonania zmiany. Radykalizm jego miał swe źródło i we wpływach kolegów ze Szkoły Włodzkiej w Kielcach — późniejszych działaczy i pisarzy, jak Ludwik Królikowski, Antoni Cypryński, Stanisław Ropelowski. Na radykalizm ten wpłynęli niewątpliwie i „współcześni mu i znajomi pijarzy: Puławski — bardziej od Ściegiennego radykalny. Szynglarski, Gacki, Tackowski”.**)*

Jako mężczyzna 32-letni zostaje Piotr Ściegienny wyświęcony na kapłana i w kilka lat potem, po kasacie zakonu pijarów — zostaje wikariuszem, kszedzem świeckim w Wilkołazie, gdzie proboszczem był ks. Bartłomiej Sobolewski. W tym czasie najprawdopodobniej zaczyna swa żywą działalność oświatową i polityczną.

Niską, krepą postać księdza w podrudzia. Jej sutannie znali nie tylko chłopcy spod Krasnika, Urzędowa, w parafii Wilkołazkiej, później Chodolskiej, jego małe świderujące oczka znali mieszczańskie ze Szczepieszyna, Hrubieszowa, Radomia i Kielce, jego brzydka, szeroka grubo rytą twarz znali spiskowcy Warszawy, emisariusze Towarzystwa Demokratycznego Polskiego z Paryża, jak Erazm

**) Podane fakty zostały wydobyte przez dr. J. Pazdurę i jeszcze nie ogłoszone drukiem.*

***) Relacja Ks. M. Żywczyńskiego.*

Zaremba, Związku Narodu Polskiego np. Gerwazy Gzowski z Łęczycy, Celsjusz Lewicki z Lublina, Henryk Krajewski z Warszawy

Dnia 24 października 1844 roku pod Krajnem w samo południe odbył się wielki wiec, na którym ks. Ściegienny wygłosił płomienne przemówienie do licznie zebranych chłopów, mieszczan i kilkudziesięciu postępowej szlachty. Zebranie to było całkowicie niezakonspirowane. Nie było nawet wart wystawionych. Ks. Piotr zbytnio uniesiony zapalem i wiarą w powodzenie spisku przestał zwracać uwagę na wesszące władze carskie.

Z drobnych zachowanych relacji o tym okresie działalności Ściegiennego wynika jasno, że entuzjazm spiskowców i ich przywódcy przyćmił mocno czujność i ostrożność, które winny cechować konspiratorów i stał się przyczyną upadku przygotowywanego powstania chłopieckiego. Zbyt wcześnie został ujawniony cały ruch na terenie Kielecczyny i Lubelszczyzny. Przez poważne braki tej właśnie natury mógł Rychter w Lublinie, Sobolewski w Radomiu i Janie w Kielcach prawie jednocześnie zdradzić nie tylko ludzi, ale i koncepcje polityczne całego rewolucyjnego ruchu.

Postać w podrudzia. Jej sutannie została przez wszystkie trzy stany zdradzona i skazana na zagładę. I nie tylko ona. Przecież pod Krajnem w wiecu brało udział 2.000 ludzi.

Ks. Ściegienny aresztowany!!! — rozniósł się po całej Kongresówce, wywołując albo panikę albo też powodując ucieczki za granicę. Ks. Ściegienny aresztowany — to znaczy upadł spisek.

Na ostatnich kartach książki — wystawy widzimy portrety Marksa i Engelsa, którzy byli obrońcami spraw rewolucji polskiej na zachodzie Europy, znajdujemy sprawy rewolucji chłopieckiej w Chocimowie, tajnego Związku Plebejuszy Polskich, którego twórcą był Walenty M. Stefański i Józef Esman, przewija się rewolucja łutowa w 1846 r. i ruchy chłopieckie w Galicji.

Skąd wyrósł Ściegienny, Stefański, Szela? Skąd wyrastali inni buntownicy, rewolucjonści, których nazwisk historia nie zanotowała? Czy tylko z tradycji walki o wolność, usamowolnienie, o sprawiedliwy ustrój? Czy tylko z ducha epoki, w której taki panował zwyczaj, że trzeba się było buntować?

Przyczyna leżała głęboko na dnie życia społecznego.

W roku 1846 gęstość zaludnienia wynosiła na 1 km. kw. 80 osób, podczas kiedy w wieku XIV — zaledwie dwie osoby. Na marginesie należy dla ścisłości zaznaczyć, że obliczenia uwzględniają tylko wieś. Społeczny stan ludności „ekonomii kieleckiej” w 1847 r. przedstawiał się następująco: 500 — szlachty, 5.000 mieszkańców miasta Kielce, 27.000 — chłopów. Społeczny podział ziemi wyglądał w 1847 r.:

*4,35% — sołectwa, wójtostwa itp.
0,35% — górnicze
7,87% — folwarki
26% — chłopskie
61,3% — lasy.
Społeczne rozczłonkowanie ludności chłopskiej:*

*1,5% — koloniści oczyszczowani
2,5% — służba folwarczna
4% — funkcjni (gajowi, drogowi, itp.)
25% — chałupnicy
31% — pełnorolni (od 8 do 10 mórg)
36% — półorolni i ćwierćorolni.*

W omawianym okresie tak wyglądały obciążenia chłopów — pańszczyzną na rzecz dworu: chłopci pełnorolni 58 dni sprzążających i 8 dni pieszych w roku, półorolni musieli odrabiać 59 dni pieszych w roku, ćwierćorolni 30 takich dni, zaś wszyscy zagrodnicy płacili 17 zł czynszu rocznie z morgi, 1 — 1,5 zł z morgi miesięcznie, 1 korzec owsa z 4 mórg — osep.

Całość świadczeń chłopów na rzecz dworu przedstawiała wartość 101 zł 21 gr. Na rzecz państwa musieli zagrodnicy, chałupnicy i różni funkcjni chłopcy dawać tzw. subsidium charytatywne, podymne, kontyngent liverunkowy, płacić składki ogniowe i odrabiać szarwark. Zaś chałupnicy posiadający dom bez ziemi byli zmuszeni płacić czynsz dominialny 2 zł 15 gr rocznie, zagrodnicy i chałupnicy odrabiali 8 dniówek rocznie w państwowych zakładach górniczych za połowę zwykłej płacy. Całość świadczeń zagrodników na rzecz państwa średnio wynosiła 30 zł rocznie.

Średni dochód chłopów wynosił 50 zł jako równowartość czynszowa mieszkania bezpłatnego (drzewo na dom otrzymywał chłop

za darmo z lasu), 20 zł — wartość otrzymanego z lasu bezpłatnie drzewa opałowego, 60 zł — równowartość prawa bezpłatnego dopasu bydła, 75 zł — zapłata za 75 dni swobodnego najmu i 114 zł — dochód z roli. Jak z tego zestawienia wynika, roczny średni dochód zagrodnika wynosił 319 zł. Robotnik folwarczny otrzymywał od 80 do 160 zł rocznie z żywienia rodziny. Całość świadczeń chłopów zagrodnika na rzecz dworu i dla państwa miała wartość 131 zł 21 gr, za co można było kupić dwie dobre krowy lub 28 korcy owsa. Na utrzymanie i potrzeby życiowe swoje i całej rodziny zostawało zagrodnikowi 187 zł 9 gr rocznie czyli 16 gr na dzień.

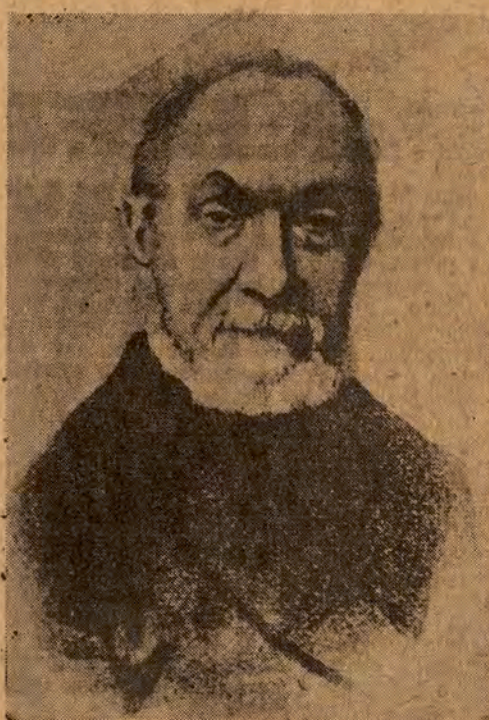
Dział wystawy ilustrujący stan chłopów w pierwszej połowie XIX w. nie uwzględnił rugów chłopskich i „ukazu” Mikołaja I z 1846 roku. Brak omówienia tabel prestacyjnych, ich zastosowania ewentualnie omijania w praktyce. Często bowiem zmniejszano ziemię chłopom, ponieważ geometrzy robiący pomiary, zazwyczaj w zmoiwie ze szlachtą, uszczupiali stan posiadania chłopieckiego, a co za tym szło, wzrastały daniny i pańszczyzna. Fakty te powodowały niezadowolenie ludności wsi, bunt, który mając już tradycje w regionie i ostatnio podminowane agitacją i spiskiem ks. Ściegiennego, wybuchły coraz częściej. Ziarno rzucone przez niego kiełkowało.

„Urzędowe śledztwo carskie stwierdziło, że w Jachowej Woli (pow. kielecki) w 1842 r. zmuszono chłopów do 2.000 dniówek sprzążających ponad normę. W Sukowie k/Kielc w roku 1840 groźbą bicia dzierżawca Gasiórowska powiększyła pańszczyznę o jedną trzecią. Dzierżawca zakładów górniczych Maurycy Konior w raporcie do urzędu w r. 1842 stwierdza, że dzierżawcy folwarków wymuszają co najmniej podwójną pańszczyznę.

F. Daleszak z Kowali k/Bilczy w 1838 roku odrobił 181 bezpłatnych dniówek”.

W 1843 roku Krajno, w którym było 63% beznolnych, odmówiło w ogóle odróbki nadmiernej pańszczyzny. Każdego kozaka, który przyjeżdżał po czynsz —

O położeniu klasy robotniczej w Anglii (II)



Jan Wincenty Mazurkiewicz (1813–1887)
(Prawdopodobnie autor artykułu „Położenie klasy robotniczej w Anglii”)

Autor przechodzi następnie do pojedynczych gałęzi pracy. O ile tylko da się — krótko wyłożymy ich różnice. Pojedyncze gałęzie pracy idą po sobie w tym samym porządku, w jakim szerzył się między nimi ruch przemysłowy, który w XVI w. okazał się w Anglii. Wyrobnicy każą się klasyfikować znowu podług pracy, jaka stanowi ich zatrudnienie. Na czele wyrobników stoi proletariatus przemysłowy złożony z tych ludzi, do których rozciąga się akt fabryczny — to jest ustawa urządzająca pracę w najgłośniejszych rozłogach przemysłu angielskiego. Jest to klasa robotników, najliczniejsza, najstarsza, najświętsza, najmilsza, a z tego powodu bardzo niespokojna i od mieszczan niesłychanie zniechęcona. Prym mają w niej wyrobnicy z fabryk bawełnianych, równie jak ich państwo pomiędzy klasą mieszczańską.

Przez ciągle zjawiające się poprawy w mechanizmie tej gałęzi przemysłowej (coraz więcej wyrobników zostaje bez chleba, a kobiety i dzieci pozbawiają ich pracy. W Stockport, gdzie w r. 1835 pracowało 800 przadków męczyzn, w r. 1843 mogło mieć pomieszczenie już tylko 140, pomimo to, że przemysł bawełniany ciągle wzrastał. Każde jakieś takie polepszenie wywiera na wyrobników wpływ przesilenia handlowego. Tu napotykałyśmy zupełne rozwiązanie się rodziny. Kobiety, które cały dzień pracują w fabryce, nie są w stanie zadość uczynić swym obowiązkom względem domu; a nawet po nieważ od samej młodości są w ten sposób zatrudnione, przeto nie znają żadnej wprawy i poprostu nie umieją być u siebie gospodyniami. Nawet obowiązkiem macierzyńskim nie czynią zadość; czas połogu ile tylko możliwości, zmuszone są skrócić, bo przez długie niestawienie się do pracy mogłyby stracić we fabryce swoją pracę wyrobniczą. Przed położeniem kobiety zatrzymuje się przy pracy fabrycznej dopóki tylko może; nieraz we fabryce gdzie w kącie pomiędzy maszynami zlegnie; zwykle zaś w trzy, cztery dni po odbyciu choroby już przy pracy siedzi. Na karmienie niemowlęcia używają tylko przepisanych spoczynków, w których atoli same jeść muszą. Często się zdarza, że dziecko głodne, a matkę syczy pierś przepelniona mlekiem, ale maszyna fabryczna nie może się dla dziecka odcigać, tylko idzie swoim biegiem. Jak żyły w tym czasie stosunki na utrzymanie w czystości i na wychowanie dzieci mieć mogą, jest rzeczą łatwą do przewidzenia. Praca fabryczna jest wogóle nie ciężka, ale niezmiernie nużąca i usypiająca. Przesilenie w pracy, cągłe stanie, bo siadanie zwykle bywa pod karą zabraniane, staje się powodem zwłaszcza u dzieci garbaczyn i innego kalestwa. Wyrobnicy w czterdziestym roku życia są do pracy niezdolni, mało który wytrzyma do czterdziestu pięciu, a prawie żaden do pięćdziesięciu. U kobiet przez ciężką pracę organa najżywniejsze przekształcają się inaczej jakby je chciała urządzać natura w celu rozmnażania ludności i często bywają położnicy, które zabijają matkę i dziecko. Gorąco zwyczajne po zakładach fabrycznych wywiera niezmiernie szkodliwy wpływ na słabsze i źle żywione dzieci, a zwłaszcza na dziewczynki. Wiele chorób wywodzi początek z urzędzeń i prac fabrycznych. Wyrobnicy fabryczni mają po większej części bardzo bladą i niezdrową cerę, cierpią na osłabienie całego ciała i według sprawozdań komisji popisu wojskowego muszą być puszczani do domu jako całkiem niezdolni do służby. Są nie tylko słabi, ale w znacznej części zdrobnieli. Niekiedy gałęzie fabryczne wywołują sobie tylko właściwe skutki, a nadwyrężające niezmiernie zdrowie człowieka. I tak po izbach zakładów bawełnianych i inne włókna rozmaite wyrabiających, wznoszący się w powietrzu proszek włók-

nisty bardzo szkodzi na płuca, mokre przeżnięcie lnu niweczy całkowicie zdrowie bardzo wielu dzieci. Do tego wszystkiego trzeba doliczyć wypadki nieszcześliwe, które przy maszynach fabrycznych są zwykłą rzeczą. Najczęściej zdarzają się one przy czyszczeniu maszyn, bo wyrobnicy spieszą się, aby przez spoczynek nie uszczuplić sobie i tak drobnego dochodu. Po Manchesterze nie tylko więcej jak gdzie indziej jest ludzi garbatych i kalek, ale i z poobrywanych rozmaitymi członkami: ten bez ręki, ów bez nogi; wygląda ludność jakby jakiegoś wojny, co z długiej wojny do kraju wróciło.

Autor przechodzi teraz do burzenia się i rozruchów w klasie wyrobniczej, w której widać nie mało gwałtowności i dzikości, ale trzeba pamiętać, że wojna specjalna w Anglii się toczy jawnie; mieszczaństwo prowadzi ją podstępnie z udawaniem filantropii; wyrobnicy zaś ze zupełną otwartością. Najpierwszą, najdziksza i bez namysłu zaprowadzoną opozycją była kradzież, która nigdy nie mogła być uznana za reprezentantkę opinii publicznej. Potrzeba przełamała zakorzenione poszanowanie własności, za kradzież nastąpiło gwałtowne burzenie maszyn, jakkolwiek i ten rodzaj opozycji pozostał tylko na bardzo cząstkowym stanowisku. Podczas takiego stanu rzeczy w oligarchiczno-torysowskim parlamencie utrzymał się bill, który dozwolił wyrobnikom zawiązywać stowarzyszenia. Już wcześniej istniały tajemne stowarzyszenia, a w skutek nich w wielu miejscach popuszczano robotę, lecz tajemność stała zawsze na przeszkodzie najszybszemu rozwojowi. Od roku tedy 1824, pomiędzy wyrobnikami wszelkich gałęzi pozawiały się stowarzyszenia z głośno wyrażonym celem bronienia ludzi pracy od napadów i tyranii mieszczańskiej. Stowarzyszenia te układały się z fabrykantami względem stosownego wynagrodzenia pracy, starały się ograniczyć przyjmowanie uczniów, zapobiegały na wszystkich stronach uszczuplaniu dochodów wyrobniczych i wspierały robotników, którzy pozostali bez chleba. Niekiedy stowarzyszenie jednej gałęzi przemysłowej rozciągało się przez całą Anglię; nie przyniosło to nigdy skutku mającego pewną trwałość, a tylko podsycało zaburzenia. Środek, za pomocą którego stowarzyszenia swój cel osiągały, był zawsze albo cząstkowym, albo ogólnym usunięciem się od pracy. W cząstkowych usunięciach fabrykanci zawsze potrafili sobie dać radę, a robotnicy dopuszczali się nadużyć, które ich poddały odpowiedzialności sądowej i tym sposobem siła stowarzyszenia sama się niweczyła. Ale nawet ogólne usunięcie się od pracy nie przynosiło skutku, gdyż wyrobnicy nie byli w stanie zmienić zasad całej ekonomii. Wogóle wszystkie te związki i stowarzyszenia pod względem zapobieżenia głównym przyczynom, pozostały zupełnie bez skutku i jedynie położyły tamę samowładnemu zniżaniu zapłaty wyrobniczej. Wszystkie zawieszenia w pracy obracają się nawet na szkodę wyrobników, ale powinny jednakże ciągle protestować przeciw zniżaniu płacy i przeciw konieczności tego zniżania, bo do nich należy występować z oświadczeniem, że wyrobnicy, jako ludzie nie powinni koniecznie stosować się do okoliczności, ale mają prawo dążyć do tego, aby okoliczności do nich się stosowały; bo ich milczenie byłoby uznaniem, że mieszczaństwo w korzystnej porze handlowej mają prawo łowić zyski z pracy wyrobniczej, a w niekorzystnej dopuszczają, aby wyrobnicy umierali z głodu. Wyrobnicy muszą protestować, dopóki tylko nie zatrąca do szczytu całego ludzkiego uczucia, a że na tej nie zaś na innej drodze protestują, robią mądrze, bo myśl przytwardzają czynem. Zawieszenia pracy przynoszą i dalszy skutek, a mianowicie, dodają ducha opozycji, wyrobnicy zaś codzień coraz bardziej przychodzą do przekonania, że zawieszenia pracy nie są wcale dostateczne do ukrócenia przewagi mieszczańskiej. To atoli stowarzyszeniom wyrobniczym i z nich wynikającym zawieszeniom pracy największą daje wagę, że stanowią niejako początek usiłowań wymierzonych na zniweczenie konkurencji. Prawda, że znoszą tylko pewną część konkurencji, to jest między sobą, co do pracy, ale na tym nie mogą poprzestać, muszą iść dalej i muszą znieść konkurencję na wszystkich stanowiskach. Z której strony należy to wielkie dzieło zacząć, rozpatrz się wkrótce.

Nigdzie wyrobnicy nie niweczą bardziej zarzutu, iż im brakuje odwagi, jak przy wielkich zamieszaniach pracy, bo istotnie trzeba mieć bardzo silne postanowienie, aby odważyć się na kilkumiesięczny głód z żoną i dziećmi; wystawić się na niewatpiewną zemstę mieszczaństwa, którą po odniesieniu zwycięstw z pewnością wyrwie, a przecież pozostać przy oporze, dopóki tylko opór nie okaże się nadal zupełnie bez celu. Równie wielkiej wagi jest to, co mówią o przestrzeganiu ustaw krajowych ze strony wyrobników: tylko dla mieszczaństwa ustawy są święte, bo są jego dziełem, a za nimi upatrują sobie zysk i za nie się kryje. Wyrobnicy stale domaga się zmiany ustaw i występują przeciw nim ze swoją chartą ludową, co do formy czysto polityczną, tylko dominującą jest formacja parlamentu, któreby atoli z pewnością pociągnęło za sobą zmianę całej konstytucji, opozycji przeciw mieszczaństwu, która to opozycja przedtem rozstrzeliwała się na stowarzyszenia i zawieszenia pracy.

Położenie proletariatu gminnego** nie

jest pomyślniejsze, jak położenie proletariatu przemysłowego. Niezdrowe powietrze w kopalni staje się powodem wielu chorób, a mieszczaństwo, któremu chodzi tylko o napętnienie worka pieniędzmi, woli, że tysiące ludzi giną, aniżeli by miał wydać kilka tysięcy funtów szterlingów na porobienie otworów przewiewnych. Praca od zawsze jest młodości, praca zawsze zbyteczna, pociąga za sobą kalectwa, a w połączeniu z chorobami ukraca życie górników. Moralność nieknie w przedzieleniu pracy, już z tej przyczyny, że nieustanne znużenie łatwo rozwija nałóg pijaństwa. Dla zbytecznego gorąca mężczyźni, kobiety i dzieci pracują wspólnie prawie nago; miejsca noclegowe są wspólne i w ciasnych obrębach, co dobrego wpływu na uobyczajenie wywierać nie może. Eksplozje i inne wypadki w górnictwie zdarzające się, a to częstokroć, że dla skapstwa właściciela nie starano się zaprowadzać sposobów zaradczych, skracając nędzne życie górników. Szkodliwe i zapalne gazy gromadzą się w jaskiniach wylotowych, a robotnik ma się przez lampę od nich chronić, kiedy na to tylko porobienie przewiewów, skutecznym środkiem być może. Strzeżenie zaś drzwi przedzielających jedne chodniki od drugich, poruczone bywa małym dzieciom, które często usypiają i drzwi pozostają otworem, przez zapalenie się gazów pożar może natychmiast przez całą rozszerzyć się kopalnią. Tym sposobem ginie w Anglii corocznie 1400 ludzi, a inspekcja sądowa względem śmierci, zostaje zapisywaną w liczbie śmierci przypadkowych, choć to właśnie śmierci ze skapstwa i niedbalstwa bogatych przedsiębiorców kopalnianych. Najsmutniejszym jest położenie robotników w kopalniach węglowych; są oni także najmniej wyszkoleni.

Długo wyrobnicy znosili spokojnie ten ucisk: duch opozycji początkowo zaczął się objawiać po okolicach fabrycznych, gdzie się znajdowali wyrobnicy wyższego wykształcenia; potworzyły się stowarzyszenia, a tu i ówdzie zawieszano pracę. Wielki obwód kopalni węgla w północnej Anglii przy tych ruchach pozostawał ciągle w tyle aż do r. 1843, ale nareszcie i w nim zaczął się także objawiać duch oporu. Górnicy z Northumberlandu i Durhamu stanęli na czele stowarzyszenia górniczego w całym państwie i obrali sobie Roberta na jenerałego prokuratora. Na dniu 31 marca 1844 r. upłynęły wszystkie kontrakty służbowe wyrobników górniczych w tych dwóch wspomnianych obwodach; wezwali oni Roberta, aby im ułożył formularz prawny na kontrakty, który przedłożyli „królom kopalni”, to jest

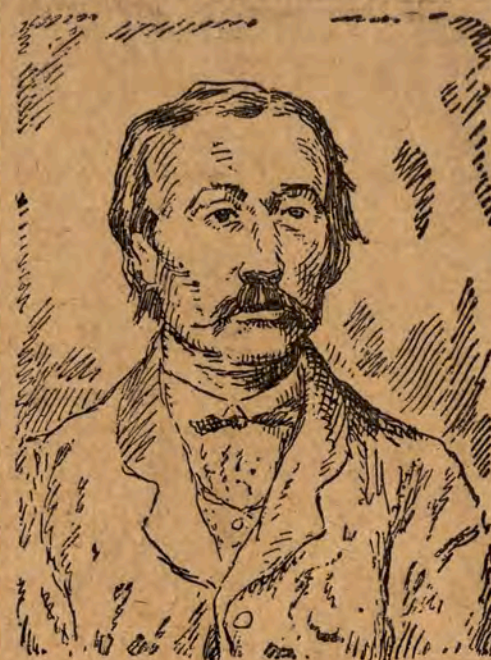
o ich położeniu w parlamencie mówić. Wkrótce po tem w kopalniach zdarzyło się kilka wypadków eksplozyjnych i Roberts przedłożył pierwszemu ministrowi powody tych nieszcześliwych eksplozji, a minister oświadczył, że się zajmuje losem górników i na parlamencie z r. 1845 uczyni stosowny wniosek. Zaledwie rozeszła się wiadomość o rozwiązaniu owej unii, kiedy wystąpił górnik w Lancashire i stanowiąc liczbę do dziesięciu tysięcy, znowu Roberta zamianowali swoim prokuratorem i wyznaczili mu tysiąc dwieście funtów szterlingów rocznej pensji.

Przy końcu dzieła, Engels rozpatruje się ogólnie w stosunku mieszczaństwa do proletariatu i powiada: „Nie zdarzyło mi się nigdy widzieć klasy ludzi równie zdemoralizowanej, popsutej, rozpreżonej i do żadnego postępu nie zdolnej, jak jest mieszczaństwo angielskie — a zwłaszcza to liberalne mieszczaństwo, co to woła o zniesienie ustaw zbożowych. Dla niego nie istnieje nic na świecie, co by nie było dla pieniędzy stworzone, nawet siebie uważa tylko za narzędzie, za grzebadło do zagarniania pieniędzy. Nie zna żadnej wyższej uciechy nad dobry zysk, żadnej innej boleści jak z powodu utraty pieniędzy. Przy tej chciwości, przy tym łakomstwie na pieniądze jest niepodobieństwem, ażeby choć jedno ludzkie zapatrywanie na przedmioty całkiem zwichnięte nie zostało. W zwykłym życiu mieszczański angielski wygląda przyzwyczajony i obudza dla siebie pewien szacunek, ale w ostatniej instancji zawsze pieniądź jest u niego miarą na przedmioty całego świata. Wszystko mu jedno, czy wyrobnicy opływają w dostatki, czy umierają z głodu, kiedy tylko on zyskuje.

Wszelkie stosunki życia oceniają się podług pieniędzy, a co nie przynosi pieniędzy, jest głupstwem, pomysłem niepraktycznym, idealnością. Dlatego ekonomia polityczna stała się ulubioną umiejętnością Anglii. Stosunek fabrykanta do wyrobnika nie wypływa z człowieczeństwa, ale z ekonomii politycznej. Fabrykant angielski jest żywym kapitałem, a wyrobnik jest żywą pracą. Nie może więc pojąć fabrykant, skąd wyrobnik byłby w stanie domagać się równego z nim stanowiska jako człowieka; nie może pojąć, aby z wyrobnikiem mógł on stać w innym stosunku, jak kupna i sprzedaży. Nie widzi w nim brata, ale widzi tylko u niego ręce do pracy; nie uznaje żadnego innego ognia, co wiąże człowieka z człowiekiem jak wypłatę gotowizną. Nawet stosunek męża do żony odciążając może jeden przypadek na sto, jest wyplacaniem gotowizną. Sam język ma formy niewolniczej, bo zamiast mówić: on posiada dziesięć tysięcy, mówi się: on jest wart dziesięć tysięcy. Oświecony Anglik stara się tej chciwości nie okazywać i udaje obojętność na pieniądze. Płaci pilnie podatki na ubogich, wnosi składki do instytucji dobroczynnych, ale właściwie przez to, że odrobnie zarobek, który wraz z ciężkim potem wyciskał z uboższego wyrobnika, zwróci jako dobrowolną ofiarę na jego dobro sądzi, że okupuje sobie prawo, aby się od niego nikt już więcej nie domagał. I w rozmowach mieszczaństwo rozkłada się nad ludzkością, ale to tylko wtedy, kiedy taka rozmowa może się pieniądze odplacić. Ekonomia polityczna przybiera także postać chytnej roli rozprawy, aby mieć zarobek i od pięciu lat stara się ona uzasadnić, że zniesienie ustaw zbożowych leży jedynie w interesie wyrobników. Najważniejszym wypowiedzeniem wojny proletariatusowi przez mieszczaństwo jest Malthus'a teoria ludności, w której stoi śmiało wyrzeczona zasada, iż szaleństwo byłoby mniemaniem, że każdy człowiek urodzony ma prawo domagać się, aby mu był podany środek utrzymania się przy życiu; dlatego nie ma przyczyny, aby zbyteczną ludność starać się przemienić na użyteczną, owszem trzeba dopuszczać i starać się, aby niektórzy z głodu sobie umierali, a zapobiegać aby proletariatus nie dostarczał społeczeństwu wiele dzieci. To szlachetne pomysły!

„Takie jest położenie ludu angielskiego, powiada Engels, według tego com widział i w urzędowych sprawozdaniach wyczytał i gdy to położenie uważam za najniezdrowsze, jakie tylko być może, nie sam jeden z tem występuję. Już Gaskell, r. 1833 oświadczył, że wątpi, aby to wszystko na drobną drogę załatwić się mogło, i przewiduje tylko rewolucję. Carlyle oświadczył w r. 1838, że trudno pojąć, jak przy chartismie i zabiegach rewolucyjnych wywołanych przez nędzę, lud daje się jeszcze mieszczaństwu liberalnemu, tak pozbawiając czcziymi frazesami, a w r. 1844, do dał, że trzeba natychmiast przedsięwziąć organizację pracy — jeżeli Europa, a przynajmniej Anglia ma jeszcze przez ludzi zamieszkaną pozostać”.

Może zniesienie praw zbożowych jest bardzo bliskie, charta ma dosyć siły do wywołania wielkiej rewolucji. Musi się lud angielski nakoniec zniecierpliwic tem eksploatowaniem przez kapitalistów, albo jeżeli kapitaliści potrzebować go nie będą, z głodu wyginąć. Skoro tylko mieszczaństwo angielskie nie uderzy się w głowę i nie zastanowi — a według wszelkich pozorów o tem nie myśli — wtenczas musi wybuchnąć rewolucja, z którą żadna dotychczasowa nie będzie się mogła mierzyć. Im bardziej proletariatus nasycy się pierwiastkami komunistycznymi i socjalnymi, tembardziej bój będzie się toczył z zemstą i wściekłością a naturalnie ze smutnym i okropnym krwi rozlewem. Komunizm podług swej dążeń stoi ponad kłótnią pomiędzy mieszczaństwem i proletariatusem; kłótnię tę uznaje tylko za stanowiska historycznego, ale nie pragnie jej na przyszłość, owszem ma on jedyny zamiar tę kłótnię zniweczyć.



Walenty Stefański

posiadaczom, a gdy ci ani przyjąć formułarza, ani uznać unii wyrobniczej nie chcieli, zawieszono pracę w kopalniach. Czerdziesięć tysięcy górników stanęło bez zatrudnienia i do długiego oporu gotowych. Fundusze stowarzyszenia zabezpieczały im na kilka miesięcy utrzymanie; Roberts obejdał całą Anglię, organizował agitację, zbierał składki i rozpoczął niejako wojnę przeciw sądom pokojowi i właścicielom kopalni. Była to ciężka walka, gdyż wyrobnicy toczyli ją o głódzie i w największej nędzy, gdyż na koniec zabrakło funduszy, a składki nie wystarczały. Mieszczaństwo pozbawione komornego, wypędzało górników z mieszkań, którzy musieli obozować pod gołym niebem w dżdżystej jesieni, a nawet groźbami zmusiło kramarzy do odmawiania wzbudzonym górnikom kredytu, mając zamiar nakłonienia ich albo do pracy, albo do gwałtów, a wskutek których rząd byłby zniewolony wystąpić ze siłą. Górnicy jednakże do pięciu miesięcy przetrwali w uporze, a nie dali się do gwałtu żadnego doprowadzić. Dopiero kiedy właściciele kopalni nasprawdzali z ogromnym kosztem górników aż z Wales i innych prowincji, przez co zupełnie odnieśli zwycięstwo, wtenczas górnicy jako pokonani, weszli w układy i wrócili do kopalni. Unia rozwiązała się Roberts musiał porzucić prokuratorstwo generalne unii, ale za to, do trzydziestu tysięcy górników, dobrze uzbrojonych pomnożyło związek charitistów; publiczna opinia obróciła się ku górnikom i zaczęto

*) W skróceniu. Patrz „Wies” Nr 27.

**) Wiejskiego — przyp. Red.



Tadeusz Różewicz

Fot. Dorys — Warszawa

Pierwszy tomik Tadeusza Różewicza „Niepokój” (1947) spotkał się z bardzo życzliwą krytyką, jak żaden w tym okresie debiut poetycki. Wszystkie niemal recenzje wyrażały nadzieję na dalszy rozwój talentu tego poety i nastawiały uwagę na to, co nastąpi po „Niepokoju”. Stefan Lichalski w „Twórczości” (styczeń, 1948) w przekonującej recenzji wyrażał nawet opinię, która młodego poetę mogła najbardziej ucieszyć, a jednocześnie obciążyć odpowiedzialnością, że mianowicie pisarska postawa Różewicza może uczynić go zdolnym do „podjęcia i rozwiązywania doniosłej problematyki naszych czasów”. Nie ma chyba większej i „bliższej ciachu” ambicji poezji współczesnej, a zwłaszcza poezji młodszych pokoleń, jak właśnie podejmować i rozwiązywać problemy naszego czasu.

Zarzuca pod adresem młodszych poetów, że zbyt mało interesują się problematyką formalną literatury, że zbyt mało się na niej znają — zarzuca te chociaż może i słuszne — idąc w bok, nie doceniają „niepokój” i lekko małości odczuwanego przez ambitniejszych poetów, niepokój, który każe im nie raz zbyt niecierpliwą ręką sięgać po wzory społecznej poezji Majakowskiego, współczesnych poetów sowieckich, czy biblijno-politycznej poezji Pablo Nerudy. „Małość” tkwi oczywiście w ich pojęciu o formalistycznych zabawach przypisywanych poezji klasycznej lub „awangardowej”.

Różewicz należy do tych poetów, którzy najwyraźniej na awangardzie, ściślej: późniejszej awangardzie krakowskiej z Przybosiem na czele — wyrosli. Wyjątkowo jednak ma on odwagę nie odżegnywać się od wzoru. Technika awangardy zaciążyła na graficznym rozłożeniu wierszy Różewicza, na ich obrazowaniu, bo niekiedy nie na zewnętrznych elementach treści, które pochodzą raczej z innego źródła.

To, co krytyka „Twórczości” skłoniło do pokładania tak dużych nadziei w pisarskiej postawie Różewicza, to był niezwykle moralny i zarazem moralistyczny stosunek do spraw minionej wojny. Konfrontacja pamiętanej grozy wojennej i codzienności, która staje się swolna powszednia, uczuła Różewicza na wszystkie odcienie fałszu i kłamstwa tej codzienności, zapominającej, że wyrasta na gruncie z krwi i krzywdy.

Nowy tom wierszy Różewicza „Czerwona rekawiczka” nie wychodzi poza problematykę moralną „Niepokój”. Znajdujemy tu zresztą najlepsze poetyckie sformułowania tego problemu jak np. wiersze o matce, „Czerwona rekawiczka” sprawia wrażenie jeszcze silniejszego „niepokój”, jeszcze większej szarpaniny poety, który spod grozy wojennej pragnie się uwolnić, dla którego wyjście poza tematykę wojny staje się koniecznością, a z drugiej strony wydaje się ciągle okrucieństwem w stosunku do pomordowanych. Nie opuszcza poety bolesny moralizm wobec rzeczywistości aktualnej.

„...jęgomość w egzotycznym stroju może rozedrzeć zasłone z krwi (zasłone z której korzystamy my żywi — niby z parawanu za którym uzupełniamy wstydlive braki naszych sumień)”...

Moralizm ten nawiązuje często do dawnych skamandryckich ujęć obsesji codzienności, powszedniości, noszących akcenty antymieszczańskie satyry, pozbawionej zdolności wyjścia poza obraz mieszczańskiego życia. Ta beznadziejna satyra antymieszczańska ubierała się najczęściej w formy groteski, przedstawiając świat jako malutki światek, gotów w każdej chwili zamienić się w bestię apokaliptyczną i skoczyć do gardła.

Taką groteską na granicy satyry są np. wiersze „Epileptyk” i „Plemnik w spodniach”, który swoim wulgaryzmem, jaki istotnie przestał już epatować kogokolwiek, wywołał drażliwą i rozdrażnioną dyskusję, zanim tomik Różewicza doczekał się uczciwej oceny krytycznej, na jaką zasługuje.

„Ten pan w białym półkoszulkę tak poprawnie narysowany sztywną twardą kreską

Anna Kamińska

W KRĘGU „NIEPOKOJU” *)

który złożył nogę na nogę
który zogniskował w pierścieniu
wszystkie światła sali
rozdarł nagle jamę ustną...”

I t. d. Wiersz „Epileptyk” jest niezmiernie dla tomiku Różewicza charakterystyczny. Ryśując obraz starszego mieszczańskiego pana w smokingu, który uległ nagle atakowi choroby — Różewicz wyraża dziwność świata, w którym cywilizowane mieszczańskie formy pękają nagle, aby ukazać pierwotną dokończoność człowieczeństwa i metafizyczną tajemniczość przeznaczenia.

Groteska — ujęcie rzeczywistości tak charakterystyczne szczególnie dla prozy satyrycznej XX-lecia, forma katastroficznych koncepcji światopoglądowych — jest Różewiczowi szczególnie bliska, a to w roku wydania książki 1948.

W formy groteski ubiera się powrót, a może nawet ucieczka poety w sferę dzieciństwa, wizja życia zagrobowego, obraz okaleczony przez wojnę młodzieży, krzyk protestu wobec wojny w wierszu „Gałązka oliwna”.

Na pograniczu groteski i okrutnego realizmu, którego odpowiednikiem w prozie są opowiadania Tadeusza Borowskiego, jest poemat „Przystosowanie”, zwłaszcza wiersz II: „Opowiadanie preparowanej skóry”. Wstrząsający to komentarz liryczny do pozornie beznamiętnej relacji Borowskiego.

Nawet w wierszach, które trudno nazwać groteskami lirycznymi, Różewicz buduje ścianki swej poetyckiej rzeczywistości, swego krajobrazu poetyckiego, ze zdrobniałych, umniejszonych rekwizytów, porusza się i każe się poruszać wyobraźni czytelnika w wymiarach zacieśnionych i zwężonych tak, że nawet impresje liryczne czynią wrażenie świadomą ręką naszkicowanej karykatury rzeczywistości. Z tym wszystkim owa liryczna nitka rzucana na motywy satyry, drwiny i groteski — jest bodaj najsłabszą stroną wierszy Różewicza w omawianym tomiku. Potracą niekiedy aż o młodopolską nastrojowość.

Łamana „awangardowa” forma graficzna wierszy Różewicza bodaj nie odpowiada gatunkowi nastrojowego liryzmu, na którym zbudowane są niektóre wiersze. Dotyczy to np. wiersza „Odwiedziny”, w którym bladość analizy psychologicznej osobistej — jak rozumie czytelnik — sytuacji, podkreślona jest jeszcze przez nieco nonszalancką formę zdania prozaicznego. To także stosuje się do nastroju „smutności”, narzucającego się nawet dość często nawrotem tak zdewaluowanego w poezji przymiotnika jak „smutny”.

Zdrobniałej wizji świata, która niekiedy uzyskuje większą ekspansję dzięki groteskowemu załamaniu, odpowiada pewien minimalizm ideologiczny wierszy Różewicza. Przeważa, są one często wstrząsającym w wymo-

wie protestem przeciwko wojnie, są nosicielami idei „gałązki oliwnej”. Jednak w swej poetyckiej argumentacji ograniczają się do jednego niemal tylko motywu — cierpienia biologicznego i jednej idei — moralnego humanitaryzmu. W wierszu „Powrót” maluje poeta groteskowy obrazek rodzinny w wymiarach powszedniego, a w ścieście zagrobowego życia. Poeta, który nagle zjawia się wśród rodziny obok matki robiącej w niebie szalik na drutach i ojca drzemającego nad gazetą — męczy się niemożnością dania im odpowiedzi na pytania.

„Nie — przecież nie mogę im powiedzieć że człowiek człowiekowi skacze do gardła”.

„Człowiek człowiekowi skacze do gardła” — na tym wyczerpuje się w moralnej interpretacji poety sprawa wojny. Wojna, będąca głównym problemem poezji Różewicza nie skonkretyzowała się w jego systemie poetycko-ideologicznym w innych przejawach np. społeczno-politycznych czy moralnych, w sferze pozytywnej — sprawy walki, oporu, różnych rodzajów poświęcenia i bohaterstwa.

Nie są to zarzuty rezenzenta, lecz próba opisu przez eliminację. Być może, że ten jeden motyw problemu wojennego: „człowiek człowiekowi skacze do gardła” — osiąga dzięki wyłączeniu czystszy i okrutniejszy wyraz w poezji Różewicza, niemniej trudno nie określić go jako ideologiczny minimalizm. Łączy się z nim i minimalizm perspektyw pokojowych, do których wyrwa się poeta z „niepokój” i dochodzi w wierszach z cyklu „Gałązka oliwna”.

„Jestem w ciąży mówisz
będę miał syna mówię
i cieszymy się jak czerwonym
jabłkiem które upadło
w środek
szarego powszedniego...”

„Szare powszednie” czyli rzeczywistość wojenna, codzienność pokoju załadnia się w wyobraźni Różewicza dość schematycznymi motywami „odbudowy”:

„Opowiem mu o Mahatmie człowieku
który został wniebowzięty
jako kosmyk wonnego dymu
o naszych tkaczach górnikach
i drobnych urzędnikach
którzy budowali dom...”

Wprawdzie wiersze cytowane są tylko końcowymi akcentami pogody wprowadzonej, aby zapewne ze względów kompozycyjnych, aby całość nie przedstawiała się już nadto pesymistycznie. Lecz wydaje się, że groteskowa miniatura wojny przechodzi tu w najmniej miniatury światka pokoju, który za chwilę może się znów przekształcić w rodzinną mieszczańską groteskę.

Gdzie szukać przyczyn, dla których najbardziej może utalentowany, wrażliwy i o wyjątkowym poczuciu moralnym poeta najmłodszego pokolenia literackiego — wyraża nie jego siłę lecz słabość — zdawałoby się beznadziejną? Dlaczego trzyma się — inteligentnie wprawdzie podpatrzonych — ale stęplonych narzędzi satyry mieszczańskiej w stosunku do przedmiotu wymagającego jaśniejszego bodaj języka oskarżeń? Dlaczego dopuszcza wynikającą z tego wieloznaczność lub co najmniej niejasność ideologiczną, beznadziejność problemową, a wreszcie wieńczy dzieło nieprzekonującym i zbyt łatwym optymizmem płynącym ze „świata dobrego i pięknego”?

Na te i wiele innych pytań co do ciekawie zapowiadającej się twórczości autora „Niepokój” nie potrafili odpowiedzieć w ramach tej recenzji.

Tu tylko pragnę jeszcze zwrócić uwagę na sprawę raczej warsztatową, która jest może jedną z przeszkód Różewicza na drodze do „podejmowania i rozwiązywania doniosłej problematyki naszych czasów”. Jest to sprawa zresztą dość ogólna, a dotyczy remanentów poetyki tzw. awangardowej w poezji najmłodszego pokolenia literackiego. Różewicz zachował ich stosunkowo najwięcej, choć widać w ostatnim tomiku i żywe przejście się poezją francuską ostatnich lat, zwłaszcza Supervielle’a i Eluarda. To, co stał zacierpiał poeta, łagodzi nieco oschłość poetyki awangardowej. Ale raz przełamana nie wstrzyma już luźnego często potoku skojarzeń, dowolności, relatywizmu. W poezji w założeniu zwężonej, lakonicznej, jaką była w swoim czasie wzorcowa z pewnością dla Różewicza poezja Przybosi, zjawia się pewne gadulstwo. Wiersz „Wyobraźnia kamieniana” jest cały pełen nawiasów i dygresji, a wiersz „Kopiec” zaczyna się od dowolnego wylczenia przedmiotów — chwytu niezgodnego z dalszym tokiem jednego z pięknych wierszy Różewicza.

„Usypali nad nim kopiec
z przejazdów i odjazdów
z czasu i przestrzeni
z ludzi rzeczy zdarzeń
masła kawy gazet
z zielonych pluszowych albumów
bromu kwiatów
i sztucznego śmiechu...”

Wylczanie staje się już w niektórych wierszach młodych poetów w czasopiśmie manierą, zwłaszcza w bliższych lub dalszych naśladowaniach Nerudy. W jego poematach odpowiada ono panteistycznej koncepcji świata, w którym wszystkie rzeczy są w każdej chwili obecne niby pod powierzchnią i gotowe do zmanifestowania się na wezwanie poety.

Z remanentów awangardowych pozostało Różewiczowi oprócz pewnego zbytniego chybalekceważenia tradycyjnych rygorów wierszowych i sproszkowania mowy — postępowanie się metaforą typu wyraźnego żartu poetyckiego. Ten rodzaj metafory, w którym świat rzeczywisty uchwycony zostaje w momencie jakiegoś skrzywienia w wyobraźni, jakiegoś grymasu skojarzeniowego — czyni z niektórych wierszy Różewicza małe obrazkowe igraszki. Np. „Zabawa w konie”:

„Kanarek żółty
jak cytryna
w drucianym koszyku
babcią w czepku
złowiona
w siatkę zmarszczek...”

Dowcip poetycki — „babcia złowiona w siatkę zmarszczek” — ma w podobnym wierszu funkcję zupełnie konstruktywną: czyni poezję z rzeczy niepoetycznej. Ale ten sam żart w wierszu donioślejszej treści, w wierszu o silniejszej ekspresji uczuciowej — staje się anachronizmem rzeczowym, często psuje i mać wrażenie całosci. Takim dowcipem jest w wierszu „Chora w ogrodzie ozdrowieńcy” — ogrodnik, który „z koskami u ramion frunie z drzewa na drzewo jak anioł w słomkowym kapeluszu”. Takim formalnym dowcipem jest także w najlepszym według mnie wierszu tomiku „Ale kto zobaczy...” słówko „ten” — zawieszone w miejscu najwyższego lirycznego wzniesienia zamiast osobnej zwrotki.

Poetyka tzw. awangardowa wydaje się zbyt ciasna dla tych treści, jakie ma do wypowiedzenia poeta, jakie nasunął mu czas historyczny. Nurt katastroficzny przedwojennego awangardyzmu pozornie tylko nakrył się z motywami wojennej grozy i zagłady. Zbyt wielka była niewspółmierność między obawami a rzeczywistością, przede wszystkim zaś niewspółmierność sensu ideologicznego mieszczańskiego katastrofizmu i czynnego przeżycia wojny. Uczyniło to poetykę awangardową beznadziejną wobec nowej rzeczywistości, która wymagała od początku języka jednoznacznie ideologicznego, więcej działającego na rozum i poczucie moralne niż bawącego wyobraźnię, niż wyrażającego subtelne odcienie wrażeń psychicznych.

Dla tych i innych zapewne przyczyn „Czerwona rekawiczka” Różewicza odcina się powagą i uczciwością postawy pisarskiej od innych wydanych w bieżącym roku tomików i debiutów poetyckich — pozostaje w sferze pierwszego „niepokój” twórczego, a język poetycki w tym tomie nie wydaje się jeszcze zdolny do zerwania z moralno-poetycką obsesją Różewicza, wyrażoną najlepiej w małym wierszu na wstępie tomiku:

„Widzę szalonych którzy
chodzili po morzu
wierzyli do końca
i poszli na dno
teraz jeszcze przechylają
moją łódź niebezpieczną
odtrącam te sztywne
dłonie okrutnie żywe
odtrącam rok za rokiem...”

Lesław M. Bartelski

* * *

Aby mnie poznać — musisz wrócić
do stron tych, z których ja wyszedłem,
nim odnalazłem świat. Każdy ma swoje
dalekie i ukryte jak brudza w dłoni
nieznane innym — życie. Tam jest przystań
mych lat młodzieńczych, tam jest kraj,
który kołysał moją młodość.

Urodzony u płomienia — jakżeby mógł iść
nie inaczej jak z płomieniem w garści?
Ruch międzyplanetarny gwiazd był mi
objawieniem — smak wzruszeń, które
chętałem sięgnąć ręką lub oddać,
odtworzyć jak pomnik piórem.

Zapomniałem o ziemi, zapatrzony w gwiazdy,
które mi nijaki gotowały los.
Aż przyszedł ogień i życie pochłonił,
jam nie z krwi żywej wtedy był, ani z kamienia —
nad wieczorem, ścigany po drodze gwiazd
uciekłem, gdzie u źródła nocy szukano
ucieczki z przerażenia.
A potem sam wtrącony w ogień
szukałem swego domu:

łopian rósł i cegła na cegle.

Śpiewałem kłeskę, nie widząc, że koło mnie
spoceni upałem lata wapno rozcierała w skrzyni,
mieszając je z wodą. Skrzybiały dźwięki.
Wyładowano z samochodów cement, rosła cegła przy cegle.
Znoszono deski na rusztowania.
Chciałem być poetą ruin. Sytki kształt
ma dom do fundamentów zrujnowany,
lecz nieść go w górę, czytać z planów —
było za trudne dla mnie.
Dziś wiem — widziałem swoją kłeskę.

Zanadto wierzyłem w niebo,
repe wznosząc jak czuby sosen,
miałem lzy na palcach: obcierałem oczy,
a z daleka płynął wodą plusk tętniących wioseł,
a z daleka łódź robotników niosły,
szły marmury Wisłą na nadbrzeża,
mieszano beton i stal,
i nowe miasto rosło.

I wtedy rozumiałem — wszelkie prawdy
zawarte w książkach oraz w naszych czynach,
są te, które przynosi wolny człowiek.
Kto czyta — nie każdy rozumie.
Nie każdy, kto rozumie — wierzy.
Aby iść naprzód, nie cofać się w tył,
trzeba mieć wiarę podobną żołnierzom,
wykutym ze stalowych brył.

I uwierzyłem — człowiek w człowieka.
I jestem wolny. Oto moje credo.

Z tomu „Patrol między murami”, który ukaże się niebawem nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Książka i Wiedza”.

*) Tadeusz Różewicz, Czerwona rekawiczka. Spółdz. Wydawn. „Książka”, 1948.

JAKIEGO MICKIE

ZASŁUGI PRZESZŁOŚCI

Pamiętnik Literacki, organ Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza, ma za sobą długą, pracowitą i pełną zasług drogę, na której prześledzić można jednoznacznie dokładnie dzieje polskiej nauki o literaturze od przeszło pół wieku, czyli prawie od jej początku. Bo też wydany od r. 1887 „Pamiętnik” (początkowo pod tytułem „Pamiętnik Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza”) był pierwszym u nas czasopiśmie naukowym historyczno-literackim, poświęconym w pierwszym okresie wyłącznie wprowadzaniu wiedzy o Mickiewiczu (pierwszych sześć roczników, tzw. Pamiętnik Mickiewiczowski), ale skupiającym już wówczas niemal wszystkich polskich pracowników naukowych, rozrzuconych czysto po wielu miastach Europy (Brückner, Spasowicz, Nehring). Od r. 1902 „Pamiętnik” rozszerza swój zakres na całość historii literatury polskiej, stawiając sobie jako cel: „wydobywać z zapomnienia, wyjaśniać historycznie, rozrzucać krytycznie zjawiska nieznane i mało znane, dochodzić związków prawd i okazy literatury polskiej z piśmiennictwem powszechnym, przedstawiać, rozbić, stosować nowe kierunki i metody historii i krytyki literackiej”. Tak rozszerzony „Pamiętnik” trwa do r. 1939 i obejmuje łącznie z „Pamiętnikiem Mickiewiczowskim” 41 obszernych tomów-roczników. W zakresie postulatów i ambicji stosowania nowych kierunków i metod historii i krytyki literackiej, możemy, jak to już było powiedziane, dość dokładnie prześledzić na przykładzie „Pamiętnika” drogę polskiej nauki o literaturze od jej stosunkowo postępowej funkcji w okresie pozytywizmu do chaosu metodologicz-

Wanda Leopoldowa

PAMIĘTNIK CZY LAMUS?

nego różnych odmian reakcyjnej ideologii pod koniec dwudziestolecia. „Pamiętnik Literacki” był już zresztą wtedy niemal wyłącznie organem „oficjalnej”, uniwersyteckiej nauki. Drugie zadanie natomiast, polegające na wydobywaniu z zapomnienia lub ukazywaniu nieznanych dokumentów literackich, stanowi do dziś trwałą zasługę „Pamiętnika”. Gromadzone przez lata „Notatki”, „Materiały” i „Bibliografia” dotyczących często niewyżyskane w monografiach (por. np. olbrzymie Krasicjana Bernackiego) stanowią do dziś cenne źródło informacji dla każdego polonisty. W zakresie wiedzy o Mickiewiczu ten typ zasług jest również niewątpliwym. Wydany w r. 1948 przez Towarzystwo Literackie im. A. Mickiewicza, „Bibliografia Pamiętnika Literackiego” pod hasłem „Mickiewicz” zawiera dwadzieścia stron wypełnionych przeważnie tytułami zaczynającymi się od słowa „nieznany”: „Nieznany dokument...”, „Nieznana relacja...”, „Nieznane autografy” itd. Warto też przypomnieć, że właśnie Towarzystwo Literackie im. A. Mickiewicza podjęło pierwsze w Polsce krytyczne wydanie pism poety, nieestety nie ukończone.

Po przerwie wojennej 1939—1945 wydawanie „Pamiętnika” wznowiono, a idąc po linii tradycji pisma—kultu Mickiewicza, który stał się bodźcem do założenia pisma, uczczono Rok Mickiewiczowski w wywołanej Polsce wydaniem okazałego rocznika (XXXVIII), poświęconego w całości Mickiewiczowi. Rocznik ten zawiera imponującą ilość 10-u rozpraw

oraz, jak zwykle, działów podręcznych: Notatki, Materiały, Bibliografia, Recenzje i przeglądy. I otóż okazało się, tym razem zapewne wbrew intencjom redakcji, że i inna tradycja „Pamiętnika” została zachowana: prawdziwie cenne rzeczy znajdujemy właśnie w owych podrzędnych działach. M. in. opublikowano bibliografię mickiewiczianów w czasopiśmie polskich 1944—1947, omówienia przekładów Mickiewicza (przeważnie nowych) na język rosyjski, serbski, angielski i szwedzki (w działach rozpraw omówienie przekładów czeskich przez M. Szykowskiego), sprawozdanie p.t. „Kult Adama Mickiewicza we Lwowie w latach 1939—1941”, interesujące „Drobiazgi mickiewiczowskie” W. Borowego — glossy edytorskie do przygotowanych przez autora do „Wydania Narodowego” „Wierszy różnych” itd. Dwie trzecie tomu (tj. ok. 400 stron) zajmują jednak rozprawy; one decydować miały o jego wartości i charakterze; — istotnie — należy im się baczniejsza uwaga.

CHÓR „SŁOWICZKÓW”

Czytelnicy czasopism literackich pamiętają zapewne niedawną recenzję Stefana Żółkiewskiego w „Kuźnicy” z książki Tadeusza Filipa o Norwidowym „Fortepianie Szopena” pt. „Nowy słowiczek”. Żółkiewski na karykaturalnym wprost przykładzie tej książki gromi raz jeszcze zwyrodniałą „uczoność”, pseudonaukową uniwersytecką burżuazyjnej nauki o literaturze. Tytuł nawiązuje do twi-

mowskiej parodii komentarza polonistycznego.

Mickiewiczowską „Pamiętnik Literacki” do starca sporej garści podobnych przykładów bezmyślnego błakania się po literaturze w masce „naukowości”, prowadzącego w rezultacie w ślepe uliczki formalizmu, wpływologii dla wpływologii, mistycyzmu czy w najlepszym razie przyczynkarstwa.

Rozprawa Zygmunta Sitnickiego „Mickiewicz a Dante” to 38 stron maniackalnej i częściej wpływologii, robionej metodą najprymitywniejszych zestawień. Wygląda to w ten sposób: mamy zdanie z „Dziadów” — „Tutaj na wzgórku Russa czytaliśmy razem” — Paolo i Franciszka również czytali razem (jaka szkoda, że nie mogli czytać Russa); „oczywisty” wpływ. Zdanie z „Konrada Wallenroda”: — „Gdzież jestem — woła — tu słycać nadzieje?” — to znów „oczywisty” wpływ napisu na bramie piekielnej. Warto posłuchać dalszego ciągu wywodów o „Konradzie Wallenrodzie”: „Nie zawadzi poza tym nadmienić, iż w koncepcji autora Wielki Mistrz ma mieć lat trzydzieści kilka, czyli że znajduje się on właśnie w dantejskiej połowie drogi żywota naszego”. Dalej następuje „rewelacyjny” wniosek: „Jednakże — mimo wykazanego w ten sposób podobieństwa — należy znowu stwierdzić, iż treść „Konrada Wallenroda” świadczy, że jego autor w dalszym ciągu nie uznaje dantejskiego systemu kar pośmiertnych...”. Przykłady takie można cytować z każdej strony. Po prostu — stanowią one treść rozprawy. Nie mogę oprzeć się pokusie zacytowania jej wniosku końcowego. Autor mianowicie przypisuje swojej pracy doniosłe znaczenie. Jakże są powody? Postulujemy: „Jak wiadomo Dante (podobnie jak Homer czy Szekspir) jest twórcą uniwersalnym, tzn. powszechnie znanym i zrozumiałym, podczas gdy Mickiewicz stopniowo i powoli zdobywa sobie znaczenie pisarza ogólnoludzkiego. Nie ulega zatem wątpliwości, że wykazanie pokrewieństw zachodzących pomiędzy dorobkiem artystycznym naszego poety a takimże dorobkiem Alighieriego, może się waleśnie przyczynić do większego zainteresowania arcydziełami Mickiewicza wśród obcych, a tym samym do stopniowego uznania go za twórcę uniwersalnego. W ten sposób dzieło literackie największego polskiego wieszaka narodowego może się stać istną arką przetrwania między Polską a innymi narodami w dziedzinie pokojowej współpracy kulturalnej”.

Czyż doprawdy poeta narodowy staje się własnością i innych narodów dlatego, że był pod wpływem wielkiego, obcego poety? Czyż naprawdę określenie stosunku do tradycji literackiej polega na wskazywaniu faktu, iż dwaj poeci używali tych samych wyrazów? W ten sposób — jak mówi autor — nie tylko nie „przyczyniamy się do większego zainteresowania arcydziełami Mickiewicza wśród obcych”, ale ośmieszamy i naukę i poezję!

Studium Tadeusza Dworaka (przypis głosi, że to fragment większej pracy pod tym samym tytułem) „Analiza porównawcza w „Panu Tadeuszu” to inny przykład bezmyślniej manii ze stawiania, która ma zastąpić naukę. Na pracę tę składa się kolosalne nagromadzenie tablic statystycznych i klasyfikacji, z których dowiadujemy się np., że łącznik porównawczy „jak” występuje w „Panu Tadeuszu” 285 razy, że „ze” wzięciu na odmienny łącznik należyliśmy 15 rodzajów (i 5 mniej ważnych odcieni porównań, prócz tego 9 rodzajów form o charakterze złożonym...”), dalej, że porównania możemy podzielić na „potoczne i artystyczne” (co to w ogóle znaczy bez uwzględnienia ich funkcji?), lub też na „porównania proste, złożone i wielokrotne”, albo jeszcze inaczej, na „porównania samotne i rodzinne porównań”, przy czym dowiadujemy się jeszcze marginesowo, że: „Porównania tworzące rodzinę, miewają to samo, co samotne uzasadnienie psychologiczne”. Wystarczy? To wszystko na 33-ech stronach. Ale to przecież „fragment”!

Rozprawa Czesława Zgorzelskiego „O pierwszych balladach Mickiewicza” powstała, jak mówi autor, na skutek inspiracji wykładów prof. Konrada Górskiego. Autor zajmuje się stosunkiem Ballad do tradycji klasycystycznej, pojętym jako stosunek „ballady” do osiemnastowiecznej „dumy” i posługuje się znów metodą zestawienia: ilości inwersji, analizy budowy stroficznej, ilości i odmian epitetów itd. Zgorzelskiemu chodzi o pokazanie „ewolucji techniki poetyckiej”, wiedzącej do ustalenia gatunku „ballady romantycznej”. Ta ślepa uliczka formalizmu prowadzi nas z kolei przez 78 stron.

Takie widzi światła koło Jakie tępymi zakreśla koło

Pozostałe rozprawy trudno omawiać indywidualnie z braku miejsca. Wybrałam przykłady najjaśniejsze. Na marginesie też tylko zaznaczyć należy, iż wątpliwą przysługę oddała redakcja zmarłemu prof. Stanisławowi Łempickiemu, publikując pośmiertnie jego napisaną w roku 1928 rozprawę pt. „Tak zwany „Heinrich” w autobiografii Ks. Pielgrzymstwa Polskiego” — jeszcze jedną próbę wyznaczenia jeszcze jednego wpływu jeszcze jednego mistyka na Mickiewicza. Resztę rozpraw, mimo oczywiście znacznych różnic indywidualnych, znamionują pewne wspólne cechy. Uderza mianowicie jałowość i pozorną problematykę, płynącą z niedostrzegania kluczowych dla nauki o literaturze zagadnień. Przede wszystkim chodzi tu

*) Patrz „Wiś” nr 27: W. Leopoldowa — O naukę i prawdę.

Wydanie Narodowe Dzieł Adama Mickiewicza

Uchwała
powzięta na 7 posiedzeniu Krajowej Rady Narodowej w dniu 5 maja 1945
w sprawie
Narodowego Wydania Dzieł Adama Mickiewicza.

Krajowa Rada Narodowa, przejmując nie zrealizowaną inicjatywę Sejmu Ustawodawczego z 1920 roku w sprawie zbiorowego wydania dzieł Adama Mickiewicza, w pełni doceniając wielką rolę twórczej myśli wielkiego poety polskiego i słowiańskiego dla kultury narodowej w Odrodzonej Polsce postanawia
pod Wysokim Protektorem Prezydenta Krajowej Rady Narodowej
BOLESŁAWA BIERUTA
zrealizować to pomnikowe wydawnictwo pod nazwą
Wydanie Narodowe Dzieł Adama Mickiewicza,
aby dostarczyć całemu społeczeństwu autentycznych tekstów poety we wzorowym opracowaniu krytycznym i typograficznym.

Krajowa Rada Narodowa poleca Radzie Ministrów wyznaczyć na ten cel odpowiedni fundusz i przekazać tę uchwałę do wykonania Ministerstwu Kultury i Sztuki.
Realizację Wydania Narodowego Dzieł Adama Mickiewicza na mocy uchwały Krajowej Rady Narodowej z dnia 5 maja 1945 podjęło Ministerstwo Kultury i Sztuki.

Teksty wydania opracowano staraniem Komitetu Redakcyjnego pod przewodnictwem
Leona Płoszczyńskiego.

Wykonanie powierzono Spółdzielni Wydawniczo-Oświatowej
„Czytelnika”.

Tekst uchwały KRN w sprawie Narodowego Wydania Dzieł Mickiewicza

Jeszcze w nieostyglą żarze wojny, w nawałe najpilniejszych spraw i potrzeb odbudowującego się państwa, na 7 posiedzeniu Krajowej Rady Narodowej, w dniu 5 maja 1945 postanowiono: „doceniając wielką rolę twórczej myśli wielkiego poety polskiego i słowiańskiego dla kultury w Odrodzonej Polsce”, zrealizować wydanie wszystkich pism Mickiewicza aby „dostarczyć całemu społeczeństwu autentycznych tekstów poety we wzorowym opracowaniu krytycznym i typograficznym”.

Uchwała ta nawiązuje do inicjatywy Sejmu Ustawodawczego z r. 1920 w sprawie całkowitego wydania pism poety. Wydanie to, znane jako Wydanie Sejmowe, zostało istotnie podjęte, ale do r. 1939 nie zostało w pełni zrealizowane. W ciągu 19 lat otrzymywaliśmy w długich odcinkach czasu poszczególne tomy, nie stanowiące nawet w mniejszych zakresach całości: otrzymaliśmy część poezji, część wykładów, część korespondencji.

Dziś, w niespełna cztery lata od uchwały K. R. N., mimo trudności pierwszego okresu w budowaniu Polski Ludowej, otrzymaliśmy już pierwszą serię dzieł Mickiewicza — cztery tomy obejmujące całość twórczości poetyckiej.

Te cztery piękne tomy słusznie i chlubnie noszą miano Wydania Narodowego. Nie tylko dlatego, że realizację ich wyznaczyło przedstawicielstwo narodu polskiego. Ale również dlatego, że realizacja ta dała nam wydanie o zasięgu powszechnym. Wydanie to jest bowiem równie cenne dla najbardziej wytrawnego filologa jak dla zwykłego miłośnika poezji, dla ucznia i dla profesora, dla

wszystkich ludzi, dla których w Polsce Ludowej kultura narodowa staje się coraz szerszym udziałem i własnością. Układ każdego tomu pomyślany jest w ten sposób, że w części pierwszej otrzymaliśmy tekst utworów (najpierw utwory wydane za życia poety, potem pośmiertne; od zasady tej odstąpiono ze zrozumiałych względów jedynie przy „Dziadach”), w części drugiej zaś uwagi o tekstach i objaśnienia wydawców. Uwagi o tekstach podają źródła, na których tekst oparto oraz odnotowują wprowadzone poprawki w stosunku do wydań poprzednich. Wyszyskano tu cały dotychczasowy dorobek filologiczny, a w stosunku do utworów ogłoszonych po śmierci poety podjęto trud odczytania raz jeszcze dostępnych autografów. Stąd szczególnie w tomie „Wiersze” znajdujemy znaczną ilość drobnych na pozór lecz istotnych różnic (omówionych częściowo przez W. Borowego w artykule „Drobiazgi mickiewiczowskie”. Pamiętnik Literacki 38, 1948). Dzięki tym staraniom otrzymaliśmy możliwie najpoprawniejsze, najbardziej autentyczne teksty utworów wraz ze zwiezłym aparatem informacyjnym, pozwalającym badaczowi i bibliografowi prześledzić historię tekstu. Druga część do datku — „Objaśnienia wydawcy” — zawiera krótkie informacje dotyczące dat, nazwisk, czasu powstania utworów, tłumaczenie trudniejszych wyrazów obcych, archaizmów i prowincjonalizmów — jednym słowem zwiezły komentarz, przeznaczony dla czytelnika zapoznającego się dopiero gruntownie z twórczością poety. Taki układ tomu zapewnia wszechstronność wykorzystania. Tom pierwszy zawiera ponadto jasne i wyczerpujące uwagi dotyczące zasad edytorskich wydania

(pisowni, układu itd.). W obrębie serii zastosowano podział na tomy wg rodzajów literackich. Tak więc tom I zawiera „Wiersze”, tom II — „Powieści poetyckie”, tom III — „Utwory dramatyczne”, wreszcie tom IV to „Pan Tadeusz”. Niezwykle trudne zadanie napisania syntetycznej przedmowy do całości wykonał z pietysmem i żarliwością Julian Przyboś.

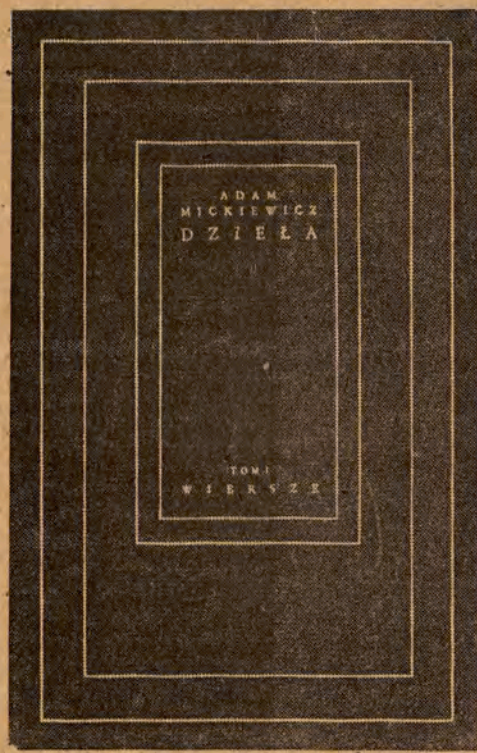
Szata graficzna „Wydania” budzi zachwyt. „Jaki papier! jaka czcionka!” — to pierwsze zdania, które wykrzykuje czytelnik dostając owe tomy do ręki. Dodatkowo każdy tom zawiera wstępnie podobiznę Mickiewicza — I — młodzieńczy portret Wańkowicza, II — portret pedzla Oleszkiewicza z czasów pobytu w Rosji, III — szych Oleszczyńskiego wg medalionu Dawida d'Angers, IV — fotografię popiersia marmurowego Dawida d'Angers.

I wreszcie sprawa ostatnia, choć nie najbłaższa: to cztery tomy tak wspaniale wydane kosztują 800 złotych. To chyba nie wymaga komentarzy.

Doczekaliśmy się. Doczekaliśmy się prawdziwego narodowego wydania poezji Tego, który stale zapatrzonej w wolną przyszłość ludów, zostawił narodowi swojemu dzieło o „wewnętrzny ogień”, nie wyzbytym nie tylko przez sto lat, ale i więcej, dzieło, do którego sięgamy wszyscy po mądrość i piękno.

Wydanie Narodowe Mickiewicza to jeden z najradośniejszych momentów w zakresie osiągnięć kulturalnych Polski Ludowej. Wierzymy, że tym razem otrzymamy szybko całość pism — zapowiedziane dalsze serie, obejmujące pisma Mickiewicza publicysty i działacza, bez których niemożliwe jest pełne ogarnięcie i zrozumienie całej jego wielkości. Czekamy z niecierpliwością, by je dołączyć do pism poety.

W. L.



Okładka tomu I Wydania Narodowego Dzieł Adama Mickiewicza

WICZA ZNAMY?

o sprawy genezy społecznej dzieła literackiego oraz jego funkcji klasowej. Oto zagadnienie, przesadzające o istotnie historycznym ujmowaniu zjawisk literackich. Bez ukazania konkretnych związków przyczynowych, bez określenia rzeczywistej funkcji utworów w danym okresie historycznym, obracamy się w sztucznie wyabstrahowanym świecie, nie mającym żadnego odpowiednika w rzeczywistych stosunkach ludzkich; w świecie, w którym „historia” ogranicza się do chronologicznego ustawiania i przesuwania martwych tekstów, według dowolnych kryteriów badacza. W ten sposób ujmowane zagadnienie obracać się musi z natury rzeczy w kręgu problematyki pozornej. W najlepszym razie rozpatruje się sprawy drugorzędne.

Ta ciasnota widzenia historycznego — żeby nie powiedzieć ahistoryczny punkt widzenia — ciąży w mniejszym lub większym

stopniu na takich rozprawach „Pamiętnika Literackiego”, jak: Zofii Szmydtowej „Czynnik gawędowe w twórczości Mickiewicza”, Konrada Górskiego „Uwagi nad Grażyną”, Wacława Borowego „Mickiewicz w szkole klasycznej”. Na tym tle najciekawiej zarysowuje się rozprawa Juliana Krzyżanowskiego pt. „Wielkość i oryginalność Pana Tadeusza”, próbująca wprawdzie dać interpretację zjawisk w duchu tradycyjnej „sociologii literatury”, ale jedyną w tomie traktującą szerzej nieco zagadnienia historycznoliterackie.

W rezultacie jednak, nad całym tomem poświęconym Mickiewiczowi chciałoby się położyć motto właśnie z Mickiewicza:

„Niechaj, kogo wiek zamrocy
Chyłaj ku ziemi poradłone czoło
Takie widzi światła koło
Jakie tępy mi zakreśla oczy”.

PAMIĘTNIK CZY LAMUS?

„Pamiętnik Literacki” jest po wojnie jedynym w Polsce naukowym czasopiśmie historyczno-literackim. („Polonistyką” poświęconą jest przede wszystkim dydaktyce historii literatury i języka polskiego, i nastawiona na bieżącą pomoc nauczycielowi). Konieczność wydawania pisma naukowego, zajmującego się zagadnieniami historycznoliterackimi, nie może budzić wątpliwości. Pod warunkiem, że czasopismo to będzie istotnie czasopiśmie naukowym. Warto też zachować dla niego tradycyjny tytuł „Pamiętnika Literackiego” — znów pod jednym warunkiem: że będzie to przynajmniej „pamiętnik”, a nie... lamus. Lamus — czyli miejsce, w którym zgromadzone są bezładnie stare i nieprzydatne rzeczy. A tak właśnie

wygląda niestety ostatni tom „Pamiętnika Literackiego”.

Nie chcemy „upamiętniania” złych nawyków metodologicznych w polskiej nauce o literaturze! Pamiętamy je dokładnie. Nie chcemy gromadzenia jeszcze większego bałastu jałowych rozpraw i komentarzy, z których nic nie wynika. Pokazać, wyjaśnić, a tym samym „upamiętnić” trzeba jeszcze bardzo wiele w historii literatury polskiej. I temu celowi winno służyć naukowe czasopismo historyczno-literackie. Czasopismo nie spod znaku resztek obumierającej burżuazyjnej wiedzy o literaturze, której nieporadność i fałszywość obserwujemy często jak niezamierzoną parodię, ale czasopismo o wyraźnie sprecyzowanej postawie badawczej — naukowej, wynikającej z założeń materializmu historycznego.

Krzysztof Wysławski

METODA PSYCHOLOGICZNA

I.
Czytając ostatnią monografię prof. Kleinera pt. „Adam Mickiewicz” niejednokrotnie zastanawiałem się, do jakiej dyscypliny naukowej zaliczyć to dzieło, jeżeli za wyróżnik przyjmujemy przedmiot, o którym traktuje. I przyznaję się — byłem w niemałym kłopotcie. Pierwszą stronice „Adama Mickiewicza” można by na dobrą sprawę włączyć do jakiejś rozprawki geograficznej, uwagi zaś o fizycznej konstytucji poety, np. o jego wzroście, stanowiłyby być może cenny fakt przy uzasadnianiu jakiejś hipotezy z dziedziny anatomii porównawczej, wreszcie refleksje na temat charakteru rodziców twórcy „Dziadów” to znów materiał, który nadaje się do wykorzystania przez kogoś zajmującego się psychologią eksperymentalną. Mimo te trudności można jednak wysłuchiwać dwa zasadnicze przedmioty badań prof. Kleinera. Pierwszy — stanowią konkretne dzieła literackie wraz z ich genetycznym uwarunkowaniem, drugi — to po prostu dzieła człowieka, odnotowywane nawet wówczas, gdy nie tłumaczy się nimi utworów. Tym samym mamy wypowiedź raz z zakresu historii, raz z zakresu historii sztuki, a ściślej — literatury. Zresztą możemy z całym powodzeniem uważać to za jedną z cech szczególnych większości opracowań monograficznych. Profesor Kleiner jest tu najzupełniej usprawiedliwiony, chociażby przez fakt, że w obu wypadkach jesteśmy na gruncie nauk jednego typu, czego nie da się z kolei powiedzieć o tych wszystkich fragmentach pracy, które zajmują się topografią Zaosia, czy też „żywym, chłonnym umysłem, Mikołaja Mickiewicza. Rozważania takie, zgodzimy się w tym miejscu chyba wszyscy, wykraczają poza granice dzieła, traktującego o literaturze, po prostu są zbędne.

II.

Praca prof. Kleinera nie jest osamotniona w polskiej historii literatury. Wprost przeciwnie, otacza ją mnóstwo dzieł podobnego gatunku, może mniej erudycyjnych, może mniej dokładnych, ale metodologicznie takich samych. Niedaleko tu bowiem do dwutomowej monografii prof. Kallenbacha, dotyczącej także Mickiewicza, niedaleko do osiągnięć prof. Pigonia, czy prof. Eugeniusza Kucharskiego. Oczywiście, są różnice dat wydania, oczywiście są jakieś specyficzne cechy każdego z tych dzieł, ale za każdym razem mamy do czynienia z tą praktyką naukową, a przynajmniej z postępowaniem pretendującym do takiego miana, która zaczęła dochodzić do głosu na katedrach polonistyki już w początkach XX w. Miała wielkie powodzenie, wielki poklask, tak że dziś jesteśmy w stanie wskazać jeszcze na całą bibliotekę wypełnioną cieńszymi i grubszyimi rozprawami pisanymi w myśl jej wskazań. Można by tu rzucić rozległy rejestr nazwisk autorskich i jeszcze rozleglejszy spis tytułów. Toteż sprawa „Adama Mickiewicza” prof. Kleinera to nie jest sprawa jednej książki, to sprawa wielu tomów. Ale jak wygląda ta metoda, której uzasadnienia doszukiwać się należy w niezwykle rozluźnieniu reguł metodologicznych dokonanych przede wszystkim przez Wilhelma Diltheya?

Dlaczego praca prof. Juliusza Kleinera stanowi jedną z ofiar diltheyowskiego i nie tylko diltheyowskiego stanowiska metodologicznego, ofiarę szczególnie przykra, jeśli się zważy zasób wiadomości skrupulatnie zebranych przez znanego historyka polskiej literatury?

W jaki sposób prof. Kleiner bada dowolny utwór? Zaczynamy od fragmentu, w którym ustala genetyczne związki, w którym wyjaśnia rację, powodującą narodziny badanego dzieła literackiego. Oto np. urywek z interpretacji IV części „Dziadów”.

„Najprostszą byłaby myśl, że działając wbrew na cenzurę, że zarzut niemoralności odeprzeć miało stwierdzenie celu dydaktycznego. Ale właśnie obrona uroczystości napół pogańskiej, przeciw stanowisku duchowieństwa, mogła urazić cenzurę, nie mówiąc już o wierzących na temat głupiego cenzora, które widocznie pisane były za urzędowania Lelewela, albo pozostawione bez zmiany w przeświadczeniu, że Lelewel nie może stosować

do siebie owej inwektywy. Więc nie cenzura chciał Mickiewicz ułagodzić i uspokoić, lecz kogo innego, kto mógłby się czuć dotkniętym — Marylę. To przypuszczenie zmienia się w pewność wobec torów, na jakie wstępuje, w ciągu dalszym „godzina przestrogi”.

A dalej... w drugim np. tomie monografii znajdujemy obfity inwentarz przyczyn powstania „Pana Tadeusza”. „Poemat zrodził się z tęsknoty i z miłującej pamięci. Żywotność i trwałość niezniszczalna tego co minęło, niejednokrotnie ciężąca nad Mickiewiczem — grozą przeznaczenia, stała się źródłem błogosławieństwa. Z tęsknoty wyrósł „Pan Tadeusz” — z typowej romantycznej postawy duchowej. Ale nie zwracała się ona ku sferom wyśnionym, wymarzonemu, budowanemu przez pragnienie, żal i fantazję. Światem, ku któremu rwie się tęskniąca dusza poety, jest to, co było kiedyś dla niego najbardziej realne i co wraca do niego w prawdziwie konkretności, rzeczowości bezwzględnej”. Dzieło literackie stanowi więc „wyraz” przeżyć psychicznych poety, jest nim całkowicie zdeterminowane w swym wyglądzie. Powstaje z „żałui”, z „tęsknoty”, z marzeń pisarza będąc tym samym jakimś psychologicznym dokumentem. Gdyby Mickiewicz nie kochał Maryli, nie mielibyśmy IV części „Dziadów”, gdyby nie przeżywał przygód erotycznych w Odessie — nie powstałyby nigdy jego sonety, gdyby, na koniec, nie tęsknił za krajem lat dzieciennych na emigracji — nie czytaliśmy dzisiaj „Pana Tadeusza”. Mówił to już prof. Kallenbach, mówiło to już dziesiątki historyków literatury na gruby przed wydaniem pracy prof. Kleinera. Ale to, że metoda powstała wiele lat temu, jeszcze by jej nie dyskredytowało. Uczynić to dopiero może dokładne zbadanie wartości hipotez, jakie możemy na jej podstawie skonstruować. A te wyglądają na pierwszy rzut oka budujące. Niestety tylko na pierwszy rzut oka. Bo jak możemy je sprawdzić? Skąd otrzymujemy dane o przeżyciach Mickiewicza? Tak wyglądałby podstawowy nasz i, jak sądzę, zabójczy zarzut. Bo cóż z tego, że mamy listy poety, w których zwierza się on z własnych „stanów duchowych”. Są, ale na jakiej podstawie zakładamy wiarygodność a nawet prawdziwość owych zwierzeń? Mamy relacje osób postronnych zawarte w korespondencji, w pamiętnikach. Ale w oparciu o co uznajemy słuszność, trafność poczynionych tam spostrzeżeń? Nie są one nawet ze sobą zgodne, co zresztą nie wystarczałoby do całkowitego ich uznania. Częstokroć mamy do czynienia ze sprzecznymi osądami dwu różnych ludzi. Prof. Kleiner sam zresztą podaje w swym dziele liczne wypadki takiej kolizji. Jako przykład możemy przytoczyć refleksję ośnośnie stosunku Mickiewicza do pani Kowalskiej, refleksję dokonane przez Czeczotę i Odyńca. Wybór jest najzupełniej dowolny. Możemy przyjąć to, możemy przyjąć z równym powodzeniem tamto.

Tak więc uznajemy „na wiarę” wypowiedzi samego pisarza, wypowiedzi osób postronnych i z tego dopiero materiału, za którego zgodność z faktycznym stanem rzeczy nikt nie może ręczyć, tworzymy hipotezę związku przyczynowo-skutkowego między przeżyciem a dziełem. Prowadzi to do wielu innych, nierozstrzygalnych komplikacji, których podawać tu nie ma potrzeby. Pierwsze bowiem zastrzeżenie uderza w metodę psychologiczną (tak można by nazwać metodę prof. Kleinera) w sposób dostateczny. Ustalać bowiem związek przyczynowo-skutkowy między dwoma faktami możemy dopiero wówczas, gdy ich pojawienie się zostało przez nas doświadczalnie stwierdzone. A tego warunku cała niemal genetyka prof. Kleinera nie spełnia. Przeciwnie, metoda psychologiczna żyje prawem błędnego koła: ze skutku (faktu literackiego) domyśla się przyczynę (faktu z życia autora) i z kolei przyczyną (hipotetycznie wysnutą) wyjaśnia skutek (w heterogenicznej sferze faktu literackiego). „Na człowieka pełnego sam się (Adam Mickiewicz — przyp. mój A. W.) wychował; rodzice nie wskazali mu drogi. Za to dał mu jasną, pogodną, wolną od mgłów i rozdziewięt atmosferę dzieciństwa — skarb, którego nie w życiu nie zniszczy. Im to zawdzięczał owe lata „sielskie” — anielskie, w których „rzadko płakał, a nigdy nie zgrzytał”, oni sprawili, że barwy

użytych tym latom głęboka, prawdziwa serdeczność. Dom pogodny był ośrodkiem pogodnego świata, który w cudzie prostoty malować się będzie tęsknym oczom wygnança.

Kraj lat dzieciennych! On zawsze zostanie Święty i czysty jak pierwsze kochanie. Ten kraj szczęśliwy, ubogi i ciasny, Jak świat jest boży, tak on był nasz własny!”

Raz jeszcze powtórzmy — oto badacz, traktując dzieło jako dokument psychologiczny, otwiera na jego podstawie przeżycia poety, gdzieindziej zaś tymi przeżyciami tłumaczył będzie powstanie tego właśnie dzieła. Jest to klasyczne błędne koło. Oto skutki nieodpowiedzialności metodologicznej, która zrodziła się u Diltheya i Xenopola prowadzi nieodwrotnie do podobnych wyników. Trzeba sobie przypomnieć różnicę poznania przyrodniczego i humanistycznego, dokonane przez Wilhelma Diltheya, gdzie to specyfiką dyscyplin historycznych było „ujmowanie zjawisk od razu w całości”, rozróżnianie otwierające pole do popisu przeróżnym interpretatorom, wyznawcom idealizmu teorii poznawczego. Zaciążyło ono nad wszelakimi dziełami, pretendującymi do miana naukowych, a traktującymi o dziejach społeczeństwa, kultury, sztuki itp. Brak ustalonych sposobów weryfikacji pozwolił na wysuwanie niczym nie uzasadnionych hipotez, kryzys logiki zaś trwający wówczas jeszcze usprawiedliwiał i błędne koło, i stosowanie „indukcji zupełnej”, i szereg typów rozumowań podobnego właśnie rodzaju. Oto owoc szkoły marburskiej, niemieckiego neokantyzmu, irracjonalizmu, owoc jakże gorzki i jakże często teraz nawet jeszcze przez nas kosztowany.

III.

Wartościowanie dzieł sztuki należy chyba do najtrudniejszych operacji na całej przestrzeni nauk humanistycznych. Każda próba w danej dziedzinie zasługuje na baczniejszą uwagę. Zobaczymy więc, jakie są tu kryteria prof. Kleinera. Zaczynamy od cytatu.

„Poza tym przekład („L'education d'une fille” Voltaire'a dokonany przez Mickiewicza — przyp. mój A. W.) jest i zgrabny, i swobodny, umie dowcipnie przeprowadzić zlokalizowanie”.

„Wobec dzieł późniejszych tak błędnie ów zbiorek („Ballady i Romanse” przyp. mój A. W.), wydaje się czymś tak małym, że trudno dziś uprzytomnić sobie jego znaczenie, trudno w nim ujrzyć naprawdę zjawisko epokowe: toż tylko prostota szczerą „Powrotu Taty”, groza „Lilji”, humor „Pani Twardowskiej” zachowały świeżość niezłakną”.

„Nigdzie chyba w autorze „Pana Tadeusza” tak nie dochodzi do głosu warstwa słowa i obrazu jak w rozkoszowaniu się grą światła i wyrazem naturalnym”. W przytoczonych przez nas wypowiedziach badacza mamy do czynienia z oceną estetyczną, jak zaraz się bowiem przekonamy, prof. Kleiner waloryzuje dzieła i ze względu na ich zgodność z wyznawanymi przez niego normami estetycznymi. Znaczenie tych ocen? Oczywiście bardzo wątpliwe. Po pierwsze nie są one uzasadnione (chodzi mi tu o oceny estetyczne) poprzez odwołanie się do jakiegokolwiek kryterium wartościowania, po drugie stanowią wyraz przeżycia poszczególnego osobu, nie mogą w żadnym wypadku pretendować do intersubiektywności. Wielkim złudzeniem licznych systemów estetycznych okazało się przecież mniemanie o tożsamości (przynajmniej w miejscach zasadniczych) gustów ludzkich. Właśnie prace tych wszystkich, którzy oparli się na przekonaniu, że doznanie, jakiego dostarcza nam utwór stanowi bezwzględny i ogólny miernik jego wartości, tworzą przykład, dyskredytujący wiarę w jednomyślność ocen wydawanych przez zbior ludzki kompetentnych. Nie wydaje mi się celowym sięganie tu po wielki rejestr przykładów. Podawano je już nieraz. A jeśli chodzi o mnie, to chciałbym tylko przypomnieć wyraźną sprzeczność w osądach twórczości Juliusza Słowackiego, osądach wydawanych przez prof. Tretiaika i właśnie prof. Kleinera. Jest rzeczą ogólnie znaną, że kryteria waloryzacji a tym samym i podział (w kategoriach — podoba się i nie podoba się) dzieł literackich, a nawet uogólniając — dzieł sztuki, zmieniały się w różnych epokach, dalej



Adam Mickiewicz
M. Wańkowicz

— w tym samym czasie był najczęściej różny w różnych krajach, i w różnych klasach społecznych. Na tej właśnie podstawie zmuszeni jesteśmy odmówić „laikom” prof. Kleinera intersubiektywności, będącej jedną z najważniejszych cech każdej wypowiedzi naukowej. Skazani jesteśmy na dostrzeganie w oficjalnie rozsypanych po całej monografii ocenach upodobań, sympatii lub antypatii artystycznych nie badacza, a reprezentanta pewnych klasowych gustów, pewnej frondy estetycznej. Odcyfrujemy ją łatwo, dochodząc do rozważań, że wartościujących, rozważań czynionych już ze stanowiska etyki.

„Ale trudno pogodzić się z myślą, że Mickiewicz przekłada „La pucelle d'Orleans”. Bo „pucelle d'Orleans” to pomnik ohydny cynizmu. Zboczenia moralne spodziły niewątpliwie w wieku oświecenia rzeczy jeszcze potworniejsze, lecz wtedy przechodziły już na teren patologii; nigdy jednak nawet w XVIII w. nie była w takim stopniu pobudką twórczą poematu obszernego chęć profanowania świętości”.

Tutaj ukazują się mu reguły moralności chrześcijańskiej. Potępienie poematu Voltaire'a i potępienie prawie całego Oświecenia, paszkwilanci („Pomnik ohydny cynizmu”, „Zboczenia moralne” itd.) atak na postępową wówczas literaturę burżuazyjną właśnie za jej libertynizm, za negatywny stosunek do religii. Gromy spadają imiennie na twórcę „Kandyda” a bezimiennie, jak chyba słusznie się domyślam, na Diderota, d'Argensona, bodaj że i Chamforta. No dobrze, może powiedzieć na to ktoś, ale dopóki nie zakwestionowaliśmy kryteriów, wszystko jest w porządku. Przy przyjęciu mierników wartości prof. Kleinera wiek XVIII rzeczywiście wygląda w ten sposób. Ale w tym punkcie niestety wszelaka dyskusja jest nie do przeprowadzenia. Etyka katolicka bowiem, a ona tutaj stanowi wzorzec, pochodzi rzekomo od Boga. Tym samym przyjęcie jej lub odrzucenie to sprawa wiary a nigdy nauki. Uzasadnienie tych wskazań moralnych, które Mojżesz otrzymał na górze Synaj, nie podejmował się żaden z poważniejszych katolickich filozofów widząc w nich problem, wykraczający poza jakiekolwiek badania empiryczne. Możemy natomiast przekonać się, do czego doprowadziło przyjęcie takich kryteriów. Rezultat jest to książka, potępiająca prądy umysłowe XVIII w., które kolidowałyby z Kościołem, książka wojującego religianta.

*) Juliusz Kleiner „Adam Mickiewicz”.

Mariusz Margai

„ULICA GRANICZNA”

Wraz z Wandą Jakubowską i Eugeniuszem Cękalskim Aleksander Ford należał przed wojną do Stowarzyszenia Miłośników Filmu Artystycznego „Start”, które dążyło do uzdrowienia polskiej kinematografii przez wprowadzenie społecznej tematyki i realistycznej formy. Jako grupa postępową, „Start” napotykał w swojej działalności na stały opór cenzury. Takie filmy Forda jak „Legion ulicy”, „Ludzie Wisły” lub „Przebudzenie” powstawały w ciągłych z nią zmaganiach i przechodziły wiele perypetii, zanim cenzorskie nożyce ustalały ostateczną wersję.

„Ulica Graniczna” jest pierwszym długometrażowym filmem Forda po wojnie i pierwszym, który zapoczątkował współpracę kinematografii polskiej i czeskiej. Temat filmu jest trudny i bolesny: wzajemny stosunek społeczeństwa polskiego i żydowskiego w okupowanej Warszawie. Wybór dzieci na bohaterów jest świadomym zamierzeniem, dzięki któremu Ford chciał w formie jak najsłodszej przedstawić ten problem bez jakichkolwiek zadrzań. Jednakże scenarzyści (Ford i Starski) ułatwili sobie rozwój akcji przez nagromadzenie zbyt wielu „cudownych” przypadków, które osłabiają bardzo silną skądinąd sugestywność filmu. Szkoda także, że w scenariuszu nie wykorzystano elementów sytuacyjnych. Nie mamy np. pojęcia, skąd się wzięło, kto zorganizował i kto kierował powstaniem w ghetcie, a przecież nie było ono spontanicznym zrywem indywidualnym, jak można wywnioskować z filmu. Brak także elementów topograficznych: kilka rytmicznie powtarzanych w miarę trwania filmu słów o zmniejszającej się ludności ghetta, nawet mapa Warszawy z zarysowanym i stopniowo kurczącym się obszarem ghetta, nadałyby filmowi cenne cechy dokumentalne i zamknęłyby usta tym zachodnio-europejskim krytykom, którzy zwalczają film jako nieprawdę.

Scenopis, podstawa sztuki reżyserskiej, został opracowany — sądząc z filmu — nader starannie i drobiazgowo. Niektóre ustawienia aparatu są tak świetnie pomyślane, że potęgają znacznie wrażenie widza. Należy do nich m. in. wolna, pełna smutku w samym tempie, jazda (travelling) aparatu w tragiczną, ostatnią przed opuszczeniem mieszkania, ucieczką u Libermanów, jazda, która mijając rytualne świeczniki, odrzucając je gdzieś w bok jak zbędne już, wysłużoną dekorację, umieszczając widza przy stole sobotnim między Libermanami i tym samym zbliża jakby do cierpienia. Należy do nich pomnikowa panorama aparatu, który pełnie za płomieniami wzdłuż ścian płonących domów ghetta, aby odkryć na dachu symboliczną postać Natana, dzierzącego sztandar polski obok żydowskiego, postać, której ruch kamery w górę nadał charakter monumentalny i pomnikowy; wreszcie odjazd aparatu przed dziećmi błądzącymi w kanałach, odjazd, który prowadząc Jądzia i Dawidka podkreśla jak gdyby bezcelowość, beznadziejność ich walki.

Przejścia obrazowe (nie montażowe w sensie technicznym) są u Forda poprawne i efektowne: mimo konwencjonalności w formie są przekonujące i silne. Kiedy zdrajca Kuśmirak każe przystrzyc się według „nowej mody” i fryzjer przerażony konstatuje, że „przecież pan wygląda jak...”, nagła zmiana obrazu nie pozwala mu skończyć: oficer niemiecki podchodzi — na nowym już obrazie — do baru z wznieśionym ramieniem: „Heil Hitler!”, kiedy Hans woła do wyresowanego psa „wo ist der Jude”, „der Jude” ukazuje się nagle w zmienionym obrazie w postaci zgarbionego Libermana, który szyje opaski z tarczą dawidową. Niewątpliwie najlepsze jest przejście, które okres od bombardowania Warszawy do wkroczenia Niemców zamyka w kłęb dymu, spoza którego wylaniają się tuż przed obiektywem zatarci i nieostre, jednakowe i nieodróżnikowane postacie na jeźdźców (przecież wszyscy Niemcy byli wówczas dla Polaków jednakowi!). W tym dymie, w postaci żołnierza polskiego migającego w odstępach między maszerującymi Niemcami, w czapce polskiej niewiadomo kiedy zrzuconej na bruk, Ford zawarł podkreślony muzyką tragizm wrześniowej kampanii! Wreszcie staranna i głęboka reżyseria takich scen jak pożegnanie Jądzia na dworcu przez ojca, rozmowa telefoniczna Dawidka z Bronkiem, praca w zakładach krawieckich i zabójstwo „des Mannes mit der Geschwulst”, na koniec wirtuozowska modlitwa Libermana, świadczą o wysokiej klasie reżyserskiej. Wydaje się jednak, że więcej nałożenia i uczucia włożył Ford w reżyserię i rozpracowanie drugiej części filmu od chwili, gdy zrywa z perypetiami indywidualnymi i przechodzi na teren ghetta.

Jednolity (w każdym razie od zakończenia zbyt długiej ekspozycji) styl i rytm filmu jest nadszarpnięty ciekawo — sentymentalnymi scenami „pięściokowymi” perypetii Jądzia i Władka, dramatycznie niepotrzebnych, bez psychologicznego uzasadnienia. Zarówno sielankowa jazda dorożką jak pseudo-uczuciowa rozmowa Jądzia i Władka przy moście mogłyby ulec poważnym skrótom. Zbędne, bo nic nowego nie wnoszące wydają się również takie sceny jak niepotrzebna dramatycznie rozmowa Kuśmiraka z córką nad fotografią dziadka dra Białka (Warszawiak Kuśmirak



W szwalni — scena z filmu „Ulica Graniczna”

byłby naprawdę taki naiwny, by dopiero dzięki podobieństwu zmienionego nazwiska uświadomić sobie żydowskie pochodzenie dra Białka?); razi w scenie romowy Jądzia z Bronkiem w komórkę patetycznej i źle wmontowanej ujęcie Jądzia, która nagle w wielkim planie (w zmienionym oświetleniu, które ma podkreślić jej bohaterstwo) oświadcza, że „pójdzie wytłumaczyć szkopom” zło ich postępowania; spośród trzech piosenek: „Warszawskie dzieci”, „Erica” i „Pocóż tu przyszedł” tę ostatnią można by śmiało usunąć. Wreszcie, z wyjątkiem partii Libermana, dialogi filmu są stanowczo zbyt patetyczne.

Tego rodzaju usterki nie mają w przebiegu akcji zasadniczego znaczenia i są wobec problematyki filmu zagadnieniem drugorzędnym. „Ulicę graniczną” należy bowiem rozpatrywać przede wszystkim pod kątem jej ideologii. Szkoda przecież, że ta werbalna („nie ma granic między ludźmi”) szczegółnie pięknie wyrażona w końcowych słowach filmu nie znajduje dostatecznie przekonującego poparcia w elementach wizualnych. „Nie zginięsz Dawidku!”, mówi anonimowy speaker, „ty nie możesz zginąć!” (w sensie ogólnoludzkiego symbolu zapewne!) — w konkretny jednak rzeczywistości filmowej (obrazie) nikt, nawet Broniek i Władek, nie powstrzymują Dawidka na zbyt symbolicznej drodze ku zgubie, gdy wraca do walącego się ghetta.

Równoległe z tą tezą film pokazał niebezpieczeństwo obojętności wobec grupy ludzi, w tym wypadku Żydów, jako zbiorowości, niebezpieczeństwo, którego nie zmniejszają przypadkowe i niezorganizowane akty pomocy indywidualnej. Bo jeżeli Broniek niesie pomoc Dawidkowi, to dlatego, że go zna, że lituje się nad jego osobistym losem, może jeszcze ze względu na bliski kontakt chłopca z Jądzia — czy jednak pomoże innemu Dawidkowi z innego podwórka, tak jak Władek, który przeszedł wyraźną ewolucję i który po przełomie nie traktuje Dawidka jednostkowo? Motorem historycznej wspólnoty pomocy ze strony panny Klary jest także prywatne współczucie ograniczone już tylko do Jądzia. Pozostali Żydzi są dla panny Klary straszną masą stłoczonych za murami ludzi niepojętych, odległych, niezróżnicowanych tak jak i dla reszty Polaków — bezimiennych przechodniów, którzy biernie przyglądają się sensacyjnej wizji palenia ghetta. Z masy tej wyodrębniają się, jeżeli chodzi o istotną typizację jednostek, jedynie bezmyślni „antysemici z przekonania”. Wojtanowie, i zdrajcy Kuśmirakowie. Film nie wykracza więc poza drobniomieszczański krąg polskiego społeczeństwa. Pozbawiając widza obrazu polskiej inteligencji i proletariatu nie przedstawia pełnej rzeczywistości społecznej. (Polski strażak zabity przez Niemców za próbę gaszenia płonących domów w ghetcie i Polacy w dwóch scenkach pomagający Żydom w sposób zorganizowany — dostawa broni i zniszczenie kulomiotu — są potraktowani zbyt epizodycznie i w sposób z całością filmu niczym nie związany).

Schemat społeczności żydowskiej jest również niepełny. Stary krawiec Liberman to biedny, chasydzki lumpenproletariusz; Nathan wyrwywający się już poza mury odrębności żydowskiej mógłby być równie dobrze bojownikiem klasowym co palestyńskim pionierem; Dawidek to dziecko żydowskie na pograniczu obu światów, dziecko wychowane w zaścianku chederu, ale już, może nie zawsze świadomie, rwące się do innego świata. Pominięty jest więc uświadomiony robotnik żydowski (a przecież lewica — syjonistyczna lub niesyjonistyczna, to mniej

mi walącego się domu, wcielił się w tragiczną śmierć warszawskiego żydostwa.

Na specjalną uwagę zasługuje Jurek Złotnicki w roli Dawidka; należy jednak baczyć, by jego oczywisty talent nie uległ wypaczeniu i manieryzacji, o co tak łatwo w tym wieku. Nie uchroniono też Marii Broniewskiej: gra ona Jądzia nonszalancko, kryguje się, pozuje na „gwiazdę”. Pozostałe dzieci nie zostały należycie wykorzystane i wypadły blado i bez wrażenia.

Zawiedli i „starzy” aktorzy. Pichelski (Wojtan) zagrał tak „drewniane”, że wprost każde wypowiedziane przez niego słowo brzmi fałszywie. Leszczyński (dr Białek) jest stosownie do swojej postaci nijaki; Śródka (Natan) zbyt patetyczny, szczególnie w pierwszej części. Najnaturalniejszy jest już bodaj Fljowski, chociaż Cwiklińska i Walter także bez zarzutu interpretują swoje role.

Do najlepszych elementów filmu należy bezsprzecznie muzyka Palestra, który stworzył jedną z najlepszych polskich partytur filmowych. Jest sugestywna, rośnie nieprzerwanym, zsynchronizowanym z obrazem crescendo, nakładając na obraz jeszcze jedną, głęboką warstwę potężniejszego tragizmu.

Momenty żydowskie są zbyt ubogo rozpracowane tematycznie, chociaż są bezsprzecznie prawdziwe i wzruszające, bez wątpienia najlepszą ich częścią jest modlitwa Godika. Jeżeli chodzi o nagranie dźwiękowe filmu, to „Ulicę graniczną” można pod tym względem przyjąć bez żadnych zastrzeżeń: jest to zasługa Czecha Mirosława Prokosa, który nie może oczywiście odpowiadać za zły ekwipunek techniczny niektórych naszych sal.

Jeżeli chodzi o dekorację, to łódzki plener warszawskiej ulicy i ghetta (Radzinowicza) jest bez porównania lepszy od barandowskich kanałów (Kopeckego). Te ostatnie są bardzo efektowne, ale nie są kanałami. Są czystym pokazowym basenem podziemnym, o pięknych efektach falującej wody. Zapachu ich, duszącego i odrzucającego, nie czuje nie tylko widz, ale — co gorsza — nawet Jądzia z Dawidkiem.

Robota operatorska (Jaroslava Tuzara) jest znacznie lepsza w drugiej części, choć i na początku układ klatek i kompozycja obrazu świadczą o wysokim wyczuciu plastycznym operatora (np. Liberman widziany przez owalną oprawę okna).

Słaby, a miejscami wręcz zły, jest montaż. Przykłady: Jądzia splunęła na Hansa, ślina spada jej na podbródek — Hans otarł twarz. Ucieczka Jądzia ze wsi do Warszawy zbiega się w czasie z jej momentem przybycia do stolicy (co nb. ma miejsce po godzinie politycznej, późnym wieczorem, a Jądzia jest żydowskim dzieckiem, nie ma papierów ani pieniędzy!). Zły jest również montaż walki Hansa z psem i pogoni gestapowców za dziećmi pod murami ghetta.

Niemniej jednak te ewentualne usterki nie wiele znaczą wobec niezwykłej siły emocjonalnej filmu, a błędy ideologiczne i klasowe uchodzą miejscami uwadze, szczególnie tam, gdzie reżyserowi udało się osiągnąć realistyczny charakter filmu. Co prawda nie stworzył postaci i uogólnień, które by „wykazywały prawa rozwoju społeczno-historycznego”, ale jego ludzie odpowiadają swym środowiskom, określają je i na tym tle wykazują niebezpieczeństwo drogi, która przez nienawiść człowieka do człowieka prowadzi do zupełnego upodlenia i upadku.



„Ulica Graniczna”: W. Godik jako krawiec Liberman, J. Złotnicki w roli Dawidka

Konstanty Treniew

łum. St. Marczak-Oborski

„LUBOW JAROWA”

(Fragmenty III aktu)

Sztuka Konstantego Treniewa „Lubow Jarowa” uznana jest powszechnie za wybitne osiągnięcie dramatu radzieckiego. Wystawiona poraz pierwszy w roku 1927 weszła do repertuaru teatrów Związku Radzieckiego. Treniew pokazuje w niej dramatycznie dzieje okresu walki bolszewików z siłami kontrrewolucji. W przechodzącym z rąk do rąk mieście przesuwa się przed oczami — dwa światy. Czerwonych wiąże wszystko: ortodoksja, bohaterstwo, wynikające z nich z walki o słuszną sprawę, o lepsze, sprawiedliwsze życie. Obróncę starego porządku ukazują się nam w całej ohydzie rozkładającej się klasy. Łączy ich tylko nienawiść do rewolucji, ich brzydota moralna odśladania się w wzajemnym zakłamaniu, zawzięci i gotowi do podławy interesem własnym. Drukowane fragmenty III aktu są właśnie ilustracją prawdziwego oblicza obrońców burżuazyjno - ziemiańskiej Rosji.

R.

Zapada wieczór. W połowie aktu zmrok. Pokój z pierwszego aktu. Trójkolorowe flagi. Plakaty, afisze o zabawach tanecznych „Na rzecz sił zbrojnych południowej Rosji”. Kółosow zakłada przewody. W drzwiach staje Lubow Jarowa.

LUBOW: Czegoście się dowiedzieli?

KOŁOSOW: Prawie nic, wszystko wskazuje na to, że żeglownicy nie ujdą kary śmierci. Czekają tylko potwierdzenia wyroku.

LUBOW: To wiadomo, że nie darują. Ale kiedy? Był teraz Szwandia od Romana. Mają obić towarzyszy żeglowskich w drodze na egzekucję. Za wszelką cenę trzeba się będzie dowiedzieć, gdzie to będzie i kiedy.

KOŁOSOW: Stracą ich natychmiast po zatwierdzeniu wyroku.

LUBOW: Ale kiedy przyjdzie to zatwierdzenie?

KOŁOSOW: Być może, że już przyszło.

LUBOW: Otóż w tym rzecz. Panowa wie na pewno o wszystkim. (Wychodzi).

(Wchodzi Panowa, Kutow i Jelisatow).

JELISATOW: Witam, pułkowniku. Kiedy Pan był łaskaw wrócić?

KUTOW: Przed chwilą. Prosto z frontu. Złożyłem raport jego ekscelencji o nowym, wspaniałym zwycięstwie pod Selezniewką.

Czy wiecie już o naszych zwycięstwach?

JELISATOW: Oczywiście; siedemdziesięciu jeńców i cztery karabiny maszynowe.

KUTOW: Pomyłka. Stu siedemdziesięciu jeńców.

JELISATOW: W depeszy...

KUTOW: Poprawi! Czternaście karabinów maszynowych i dziewięć dział.

JELISATOW: Już wydrukowane, ale można puścić „Dodatkowy komunikat”.

JELISATOW: Czy pozwoli Pan, Pułkowniku, zamieścić wywiad w dodatku nadzwyczajnym?

KUTOW: Proszę bardzo. Droga Pawło Pietrowno, co nowego u tych szubrawców, naszych szlachetnych sprzymierzeńców?

PANOWA: Ploteczki o modzie, nowa ope- retka. Cały Paryż poruszony.

KUTOW: Ale pani niech się tym tak nie wzrusza, moja droga. Dostaniemy broń, potem przyjdą i mody. Arkadiuszu Piotrowiczu, wie pan o przyjeździe jego ekscelencji?

JELISATOW: Wiem, oczywiście.

KUTOW: Miedzy innymi w czasie zeszłej bytności jego ekscelencji na ulicach nie było prawie ludności cywilnej. Jego ekscelencja zauważył to...

JELISATOW: Zwiększyć udział ludności cywilnej? Ale ktoś ma się tym zająć? (Wchodzi protokolier Zakatow). Otóż ojciec protorej też mógłby natchnionym słowem...

JELISATOW: A czy słowami...

ZAKATOW: Pozdrawiam was panowie. Jego ekscelencja nie przybył jeszcze? Czy prawdziwie prorokowałem nowe zwycięstwo?

KUTOW: Najzupełniej prawdziwie. (Słowa ojca są natchnione).

ZAKATOW: To wielka radość. Tym większa, że rokuje nam zwycięstwo ostateczne. Spotkałem właśnie na placu pułkownika Malinina. Tylko co wrócił z karnej ekspedycji. Zbuntowane wieś zrozumiały swoją winę i teraz załują. Wspomnienie moje prorocze słowa Panowie: Za czterdzieści dni będziemy słuchać malinowego dźwięku moskiewskich dzwonnicy. (Wchodzi Jarow i Malinin). O wilku mowa, a wilk tu.

MALININ: Witajcie panowie. Ojciec protorej, proszę o błogosławieństwo.

ZAKATOW: (błogosławiając) Bądź pozdrowiony niosący pokój.

MALININ: (ucelował rękę Zakatowa a potem obie ręce Panowej). Najpierw jedną poświęconą, a potem dwie boskie.

ZAKATOW: Kolejność powinna, ale słowa próżne.

PANOWA: Fi, jak nazywają się wasze perfumy? Egzekucyjne? O, pułkownik Kutow przywołał mi z frontu cud!

KUTOW: Gratuluje sukcesów, pułkowniku.

MALININ: Wzajemnie.

JELISATOW: Czy można przeprowadzić wywiad?

MALININ: Przed raportem dla jego ekscelencji — nie mogę.

JELISATOW: Przynajmniej ogólnikowo.

MALININ: No, jeśli ogólnikowo...

JELISATOW: Jakie środki przysiężę dla opanowania sytuacji?

MALININ: Natychmiastowe i stanowcze. Droga egzekucji i spalenia wsi. To oczywiście nie do druku. W druku proszę zaznaczyć, że w ciężkim dwutygodniowym marszu cały oddział, od komendanta do ostatniego żołnierza, spisał się bez zarzutu. Każdy był gotów pojsć za wiarę na krzyż, za cara na szafot, za ojczyznę na bagnety. A za takie rzadki (całuje Panową w rękę) w ogień i w wodę.

PANOWA: A ktoś pana ciągnął na szafot — dziewczęta?

KUTOW: Czyżby na tyłach były bagnety?... (parska śmiechem).

MALININ: Mogę zapewnić łaskawą panią, że po pierwsze: knowania bolszewików na tyłach gorsze są od ich bagnatów na froncie, a po drugie: myśmy na tyłach żydowskich pierzyn na bagnety nie brali i nie perfumy dla pań zdobywali, jak to robili na froncie ci, co teraz parszczą.

KUTOW: A po trzecie ojciec protorej, wydaje mi się, że szlachetniej walczyć z Żydami na froncie, niż z rosyjskimi dziewczętami na tyłach.

ZAKATOW: Z jednej strony tak, ale już z drugiej, a z trzeciej zwłaszcza...

KUTOW: Walczycie z babami, a pod samym nosem o mało nie wyleciał wam w powietrze most Żeglowski.

MALININ: No, jednak nie wyleciał. I Mazuchina z Chruszczem udało mi się ująć.

KUTOW: Panu się udało? Przecież to robotę porucznika Jarowego. I Pan naprawdę się...

JAROWY: Panowie, skończcie już z tym. Chwila jest poważniejsza niż przypuszczacie. Dopóki nie zlikwidujemy Romana Koszkin, nie będziemy mieli spokoju na tyłach.

MALININ: Zlikwidujemy. Mamy już zupełnie pewne informacje: ukrywa się w lasach Orechowskich. A ten, jak mu tam — no ten co przy wieszaniu zadusił konwojenta?

KUTOW: Szwandia?

MALININ: Tak, tak Szwandia — w wilczych Parowach. Natychmiast trzeba pchnąć oddziały w tych kierunkach.

JAROWY: Myślę, że pan się myli. I dopóki będziecie tazić z oddziałami po lasach i parowach, tutaj mosty i magazyny będą wylatywały w powietrze.

MALININ: Tu właśnie istnieje konieczność oddziaływania moralnego. Szajkę żeglowską należy powiesić nie w Żeglówce, lecz tu na bulwarze.

KUTOW: Tak, to byłby świetny efekt.

MALININ: Poproszę teraz o rozporządzenie jego ekscelencji (bierze słuchawkę telefonu).

JAROWY: Sprzeciwiam się kategorycznie.

KUTOW: To by dało efekt moralny...

JAROWY: Ja bym chętnie nie tylko dla efektu porozwieszał tych spodłatych pacholców i nie tylko na bulwarze, ale na całej drodze do Moskwy. Ale teraz efekt będzie taki, że ten Koszkin odbije ich u wrót wzięcia.

MALININ: Ależ Koszkin też będzie w naszych rękach. A jak jutro zobaczą taką girlandę na bulwarze, to będzie bardziej przekonujące od wszystkich proklamacji. Wiercie starem doświadczeniu.

KUTOW: Skończmy z połowiczną grą. Jeśli ogłosiliśmy terror, to dotrzymajmy.

MALININ: Musimy być bezwzględni w stosunku do sympatyków bolszewizmu. Część trzeba wysłać na front, a część izolować tutaj.

JAROWY: I zostani: nam Jelisatow.

MALININ: Więc pan broni sympatyków bolszewizmu?

JAROWY: Zdaje się, że nie zadrżała mi jeszcze ręka w walce z bolszewikami. I moim zdaniem...

MALININ: (ostro mu przerywając) Panie poruczniku, radzę panu raz na zawsze zachować swoje zdanie dla siebie i postępować wedle rozkazów jego ekscelencji.

JAROWY: (wstrzymując gniew) Zdanie o panu zachowam dla siebie. (Słychać podjeżdżające auta).

KUTOW: (patrzy w okno) Jego ekscelencja. (Wszyscy przechodzą do gabinetu generała).

(Z sąsiedniego pokoju wychodzi Panowa niosąc papiery. W nieoświetlonym oknie zarysowuje się postać Koszkin w chłopie stroju z koszykiem w ręce).

KOSZKIN: Towarzysko Panowa!

PANOWA: Kto to? Roman... Skąd tu?

KOSZKIN: Przyniosłem leśne jagódki (podaje koszyk).

PANOWA: Czyście zwarowali... W każdej chwili mogą was ująć.

KOSZKIN: Wyrok już jest? Kiedy będą wieści? I gdzie?

PANOWA: Kogo?

KOSZKIN: No prędko!

PANOWA: Nie wiem.

KOSZKIN: Wiecie.

PANOWA: Odejście.

KOSZKIN: (skierowuje na nią rewolwer)

No! znacie mnie przecież. Życie towarzyszy żeglowskich droższe mi od własnego. (Za drzwiami krok).

PANOWA: Uciekajcie... Ktoś idzie...

KOSZKIN: Ja rękę żartuję. Czekam (znika).

(Wchodzi Czyr śpiewając: „Carstwu na sławu nam”).

PANOWA: Czego chcecie Czyr?

CZYR: To pani mnie nie wołała?

PANOWA: Nie.

CZYR: Staremu człowiekowi nieraz się przywidzi...

PANOWA: Przeznajęcie się lepiej.

CZYR: (Zgna się). Ładnie pachnie jagodami. Leśnymi. Zbierają ludzie. — Bandytów się nie boją. (Wchodzi Jarow).

JAROWY: Cóż tam Czyr?

CZYR: Opowiadał, jak jagody pachną leśne...

JAROWY: Któż to pani przyniósł?

PANOWA: Wielbiciele.

CZYR: Tylko Boga jedynego wielbić należy.

JAROWY: Idź precz... (Czyr wychodzi).

JAROWY: Opowie mi pani o swoim wielbiciele?

PANOWA: Nie.

JAROWY: Nazbierał jagód w partyzanckim lesie. Odważny chłopak...

PANOWA: Nie bojaźliwy.

JAROWY: Ależ to jak romans.

PANOWA: Maleńki.

JAROWY: A może ten maleńki romans pisze się bez „s”? (Patrz sobie w oczy).

PANOWA: Widzę, że pan lubi zaglądać do cudzego serca.

JAROWY: To z zazdrości.

PANOWA: Lepiej, żeby pan był zazdrosny o własną żonę.

JAROWY: A kogo mam podejrzewać?

PANOWA: Nie jestem donosicielką... Niech pan sobie oszczędzi pytań.

JAROWY: No, jeśli ktoś na panią doniesie, to nie będą oszczędzały pytań.

PANOWA: Widzę, że pan mnie myli ze swoją żoną.

JAROWY: Nie, nie myślę Pani. Moja żona nie pracuje w sztabie i nie odpowiada głową za znajomości z partyzantami (wychodzi).

(Z ulicy słychać dźwięki hymnu, okrzyki. Wchodzi Luba i zatrzymuje się w cieniu).

PANOWA: Kto tu? Czyr, to ty?

LUBOW: Nie, to ja.

PANOWA: A, towarzysza Jarowa. Pani do kogo?

LUBOW: Do was.

PANOWA: O cóż chodzi?

LUBOW: Chciałam się dowiedzieć... Czy byście nie pomogli...

PANOWA: W czym?

LUBOW: Zaresztowano moich uczniów komsomolców. Chciałam widzieć się z pułkownikiem Malininem, czy go nie ma?

PANOWA: Nie ma.

LUBOW: Jaka szkoda... Poczekam.

PANOWA: Proszę.

LUBOW: Pawło Pietrowna, ja... o żeglówcach... Wania powiedział...

PANOWA: Posłuchajcie...

LUBOW: Nie, to wy posłuchajcie!

PANOWA: Słucham.

LUBOW: Pomóżcie. Powiedźcie moja droga... w waszych rękach życie takich ludzi, takich ludzi...

PANOWA: Gdyby rzeczywiście w moich rękach było życie takich ludzi, to chętnie bym ich udusiła.

LUBOW: Nie wierzę.

PANOWA: Możecie wierzyć. Gdyby na miejscu żeglówców byli biali zabójcy a wy na moim miejscu, czy ratowalibyście ich?

LUBOW: To się nie zdarzy. Ale obie jesteście wdowami. Czyż chcecie, żeby było nas jeszcze więcej?

PANOWA: O, chcę! Idźcie już.

(Czyr przynosi korespondencję, kładzie na stole i wychodzi).

LUBOW: Co to?

PANOWA: Nowa korespondencja...

LUBOW: To może właśnie tu...

PANOWA: Wszystko być może (wychodzi).

(Luba podchodzi szybko do stołu, chce przeszkukać korespondencję. Czyr pojawia się w cieniu, Lubow ogląda się, spotyka się ze wzrokiem Czyra).

LUBOW: Przyszedł do pułkownika, i go...

CZYR: Nie ma.

LUBOW: Mam ważną sprawę.

CZYR: Tak.

LUBOW: Trzeba czekać.

CZYR: Trzeba.

(pauza)

LUBOW: Przynieście mi wody.

CZYR: Napój łaknącą duszę twoją wodami sprawiedliwości.

LUBOW: Nie dacie? Judasz! (chce wyjść).

CZYR (zastępując drogę): Nie Judasz, Hiob — święte imię moje.

(Wchodzi Malinin).

MALININ: Co, o co chodzi?

LUBOW: Chciałam się poinformować.

CZYR: W papierach chciała się informować.

MALININ: W papierach? Kto Pani jest?

LUBOW: Nauczycielka. Chcę się dowiedzieć...

MALININ: Co?

LUBOW: Wczoraj aresztowano moich uczniów. Chłopcy z dobrych szlacheckich rodzin, dobrze wychowani... to chyba nieporozumienie.

MALININ: Zdarza się. Niech Pani spocznie.

LUBOW: Przyszedł więc prosić... w sprawie uwolnienia. (Zapomniałszy się, wpatruje się chwiejnie w papiery leżące na stole).

MALININ: (chwytając jej spojrzenie) Więc Pani przysłała dowiedzieć się czy prosić?

LUBOW: Tak... Bardzo proszę.

MALININ: Jak Pani godność?

LUBOW: Jarowa...

MALININ: Może krewna porucznika Jarowego?

LUBOW: Tak... daleka. Mieszkał u nas w majątku jako student. Ponieważ okazał się czerwony, musieliśmy się rozstać.

MALININ: A gdzie jest majątek państwa?

LUBOW: Mój Boże, gdzież teraz wszystkie majątki? Kiedyż, kiedy pułkowniku drogi, zwróćcie się nam?

MALININ: Cierpliwość proszę Pani, cierpliwość. Wszystko z Bożą pomocą zwrócimy.

LUBOW: Nadzieja tylko w Bogu i w was.

MALININ: Dziękuję, dziękuję. Staramy się. Zaraz zobaczę, co z pani sprawą. Proszę bardzo poczekać minutkę.

LUBOW: Pan będzie łaskaw.

(Malinin wychodzi zostawiając drzwi nie- domknięte. Lubow podchodzi do stołu i wyciąga rękę ku papierom. Drzwi otwierają się gwałtownie. W drzwiach staje Malinin).

MALININ: No! Czego pani tam szukała? Informacji? O czym? Proszę mówić prawdę.

LUBOW: Nic panu nie powiem.

MALININ: Czy pani rzeczywiście nie jest krewną porucznika Jarowego?

(Lubow milczy).

(Malinin bierze słuchawkę telefonu). Dwa- naście. Czy jest u was porucznik Jarowy?

Proszę natychmiast do mnie (kładzie słuchawkę), więc pani odmawia odpowiedzi?

(Lubow milczy. Wchodzi Jarowy).

JAROWY: Luba...

MALININ: To pańska krewna?

JAROWY: Żona.

MALININ: Ach tak? Nie wiedziałem.

JAROWY: O co chodzi?

MALININ: Pańska małżonka zdradza wielkie zainteresowanie naszymi papierami.

JAROWY: A! Więc to tak!... Proszę wybaczyć pułkowniku, to mały dramat rodzinny. Moja żona jest chorobliwie zazdrosna. Po prostu nieszczęście! W mojej korespondencji poszukuje listów od kobiet. Podejrzewa, że bilecki miłosne przychodzą adresowane na biuro. Luba! Chodźmy stąd!

(Jarowy i Luba wychodzą. Z ulicy słychać hymn, auta).

MALININ: Jego ekscelencja.

(Uroczyste powitanie głównodowodzącego. Straż honorowa. Muzyka. Przedstawiciele Ententy. Delegacje. Matuszka podaje chleb i sól).

ZAKATOW: Zechciejcie wasza ekscelencjo, nasz orle - komendancie, szybujący nad Rosją — przyjąć wyrazy hołdu z okazji zwycięstwa nad Selezniewką. Te tysiąc jeńców, zdobyte setki ognionośnych armat i kulomiotów — to gwarancja, że bliski już czas, kiedy lud rosyjski wypędzi z ojczyzny zdrajców i rozbójników, wkroczy do matki Moskwy i przy malinowym dźwięku jej niezliczonych dzwonów — zwróci swemu prawowitemu władcy tron i ojczyznę.

GENERAL: Dziękuję.

DELEGAT ZIEMIANNSTWA: Wasza ekscelencjo! My, ziemianie, żywnym wiara, że gdy cała ziemia rosyjska zostanie zwrocona jej gospodarzowi — pomazańcowi, to i poszczególne majątki powrócą do gospodarzy ziemian. Albowiem tylko z części może się złożyć całość. Święta Rosja może istnieć jedynie w oparciu o uświęcone prawo własności.

GENERAL: Dziękuję.

DELEGAT PRZEMYSŁOWCÓW: Wasza ekscelencjo, w imieniu przemysłowców mam zaszczyt wyrazić przekonanie, że rozbite ośrodki przemysłowe mogą być odbudowane i zostaną odbudowane rękami prawnych właścicieli.

GENERAL: Dziękuję.

FOLGIN: Pozwólcie wasza ekscelencjo zapytać w imieniu inteligencji pracującej: jakiej monarchii mamy się spodziew

PANOWA: Dobrze. Proszę poczekać na bulwarze. Zaraz będę.

KUTOW: Merci. Czekam. (wychodzi, spotała w drzwiach Luba. Luba zatrzymuje się, patrzy na nią. Wchodzi Jarowy).

JAROWY: Pawło Pietrowna, generał prosi panią do siebie z prasą zagraniczną. (Panowa odchodzi).

Pocoś tu przyszedł? (Luba chce odejść, Jarowy zagraża jej drogę).

Poczekaj.

LUBOW: Aresztujesz mnie?

JAROWY: Luba... Boże mój... Skończ z takimi pytaniami. Czy spotkaliście się poto, żeby się rozstać? Miejsze oczy otwarte. Od miesiąca co noc lażę pod twoimi oknami...

LUBOW: Dwa razy cię nie było.

JAROWY: A... Kiedy?

LUBOW: Kiedy zasiadałeś w sądzie. A rano wisieli na latarniach...

JAROWY: Luba, gdzie jesteś ty, która ufałaś mi bezgranicznie?

LUBOW: A ty gdzie?

JAROWY: Tu, z tobą. Z tą samą prawdą.

LUBOW: Prawda jest po mojej stronie.

JAROWY: Zamienili ci ją. Wytrawni osuści. A ja ten sam, co dawniej, zaklinam się.

LUBOW: Ja też do niedawna zaklinałam się na twoją pamięć nienawidzić tego, czym jesteś obecnie.

JAROWY: Za cóż ta nienawiść?

LUBOW: Za co?

JAROWY: Wystuchaj mnie, jak dawniej słuchałaś.

LUBOW: Kogo innego wówczas słuchałam.

JAROWY: Ty mnie nie słuchasz. Jesteś czymś wzburzona.

LUBOW: Ach, znam twój biedny repertuar: jesteśmy tchórze, pseudo-rewolucjonści, zaprzędaliśmy sojuszników, jesteśmy ślepi pacyfiści, Kaini, bratobójcy, czarnoseci...

JAROWY: Jeszcze gorzej: u nas chociaż wiara i patriotyzm, a u was tylko własna skóra i brzuch.

LUBOW: Zegnaj (chce odejść).

JAROWY: Poczekaj. Za mało czytałaś, Luba.

LUBOW: Tak, a ty za mało widziałeś.

JAROWY: Raczej za dużo. Słizmy do ataku pod Zamościem. W pewnej chwili garstka tchórzów podnosi krzyk: „Precz z wojną!”

Jeden pchnął mnie bagnietą w plecy, drugi posłał kulę w rękę i w nogi. Zabrali mnie Niemcy, wyleczyli, pokazali, jak naród, co z dawał dawna zdobył sobie wolność, o której nam się jeszcze nie śniło — jak ten naród robi teraz prawdziwą rewolucję i stoi na straży kultury. Dla tej wolności — jeśli pamiętasz — nie oszczędzałem nigdy siebie ani ciebie. Nie będę oszczędzał i tych, którzy zaszargali tę wolność i zatopili naród we krwi. Wojna do końca...

LUBOW: Pod komendą tych samych żandarmów...

JAROWY: To garść skazańców. Zeschle liście niesione wiatrem. Już wnet obejdziecie się bez nich.

LUBOW: Macie swoich katów.

JAROWY: Kaci — tam.

LUBOW: Na waszych latarniach?

JAROWY: To prawo frontu. Ja ciebie nie puszczę na drugą stronę. Nie poto cię odna-

lażem. Przecież to wbrew naturze — iść nam różnymi drogami. Nasze spotkanie nie będzie rozstaniem.

LUBOW: Gorzej. Nie idziemy różnymi drogami. Zderzyliśmy się na jednej i ktoś z nas musi się stoczyć.

JAROWY: Luba, ja do tego nie dopuszczę.

LUBOW: Cóż — ty! Jesteśmy już innymi ludźmi. Jestem silna, a ty bankrut.

(Wbiega Jelisatow. Na ulicy gwar. Wchodzi parę osób, między innymi Panowa).

JELISATOW: Panowie, nieszczęście! Pułkownik Kutow zabity.

GŁOSY: Jak?... Gdzie?...

JELISATOW: W tej chwili, tam za rogiem, na bulwarze. Musieli go czymś ogłuszyć.

GŁOSY: Ograbili?

JELISATOW: Nie, tylko teczke skradziono.

(Jarowy patrzy na Luba i Panową).

KURTYNA

Konstanty Treniew

Paulina Czyżowa

AMATORSKI TEATR ROBOTNICZY

(Artykuł dyskusyjny)



„Próba teatralna” Fot. Urbanowicz, Film Polski



„Bywa i tak na świecie” B. Prusa — sztuka wystawiona w ramach akademii 1-majowej w P.Z.P.B. nr 16

Teatralne zespoły świetlicowe łódzkie przygotowały jako czyn przedkongresowy szereg pełnych sztuk z repertuaru klasycznego i przeróbki sceniczne „Zemsta” Fredry, „Skapiec”, „Moliera”, „Skalmierzanki”, „Matka Gorkiego i inne.

Obejrzenie paru tego rodzaju przedstawień nasunęło nam kilka uwag, które przedstawiamy jako dyskusyjne. Nie mamy bowiem prawa sądzić z jednej strony, że forma pełnospektaklowej sztuki na scenie robotniczej stanowi jakąś stałą tendencję polityki kulturalnej Związków Zawodowych wobec teatru ohotniczego, a z drugiej, że osiągnięcia, jakie zdobyły w tym zakresie teatry ohotnicze łódzkie, są miarą osiągnięć teatru ohotniczego w Polsce w ogóle. Raczej przypuszczamy, że sprawa jest ciagle płynna, zespoły, jak wiemy, znajdują się w fazie organizacji, a metody i cele teatru robotniczego — nie są dość jasno określone. Na razie obchodź nas stan obecny, a raczej tendencje i kierunek rozwoju na czas najbliższy.

Od dwóch czynników musimy tu zacząć. Po pierwsze — dotychczasowe prace zespołów teatralnych na terenie fabryk wykazały żywiołowe, entuzjastyczne wprost dążenie młodzieży robotniczej do wyżycia się w sztuce. Nie tylko zresztą młodzieży. W niektórych zakładach pracy, posiadających jakieś przedwojenne tradycje amatorskiego teatru — garna się do zespołów i starsi, zamiłowani teatromani. Młodzież robotnicza, posiadająca przeważnie oprócz pracy w fabryce — obowiązki szkolne, poświęca z zapałem każdą wolną chwilę pracy przygotowawczej w zespołach teatralnych. Czynniki tu są nie tylko aktorzy przygotowujących sztuk. W świetlicy wykonuje się rekwizyty i dekoracje i nie rzadko stroje. Po przedstawieniu zresztą cały zespół zakasowuje rekwizy, uprząta dekoracje przewozi sprzęt — jeśli przedstawienie odbywa się poza terenem świetlicy.

Duga sprawa obok widocznych w samym zespole tęsknoty i zamiłowania do sztuki — to mobilizujące dla sztuki teatralnej w ogóle — znaczenie teatru robotniczego w zakładach pracy, w masach robotniczych. Obok prywatnych zainteresowań osiągnięciami bliższych i towarzyszących pracy, gra tu rolę swoisty patriotyzm fabryki — „nasza fabryka gra”. Zainteresowanie własnym teatrem świetlicowym przenosi się oczywiście i na teatr zawodowy, wychyla na jego problematykę artystyczną. Teatr ohotniczy — nie będzie chyba przesadą twierdzenie — wychowuje robotniczą publiczność teatralną, tego mitycznego wciąż jeszcze „masowego widza”, o którym tyle się słyszy i mówi.

Tę zresztą sprawę ostatnia można by poszerzyć i wskazać na dużą rolę teatrów robotniczych, na całe środowisko, na całe dzielnice robotniczego miasta, młodzież szkolną, wreszcie środowiska małomiasteczkowe, w których istnieją teatry amatorskie i środowiska wiejskie — odwiedzane przez zespoły robotnicze.

Problemy, których tu musimy dotknąć, są mimo swej obiektywnej ważności dość składowe, a to i dla teatrów zawodowych, i dla mniej lub więcej świadomego kierownictwa artystycznego ruchu na terenie Związków Zawodowych.

Teatry ohotnicze na prowincji łódzkiej — są to rzeczy znane nam z relacji działaczy kulturalnych — pełnią nieraz funkcje teatru zawodowego, zastępują go. Odczuwany dotkliwie brak kulturalnych rozrywek i artystycznych przeżyć zmienia tam zespoły ohotnicze na niemal stałe teatryki, grające regularnie jak zespoły zawodowe i ściągające masy publiczności z miasteczka i okolicy. Zespoły łódzkie wyjeżdżające na wieś zastrzymywane są we wsiach znajdujących się po drodze, na trasie do wyznaczonego celu, ściągane do wsi sąsiednich, gdzie powtarzają przedstawienie, choć nie leżało to w planie wyjazdu.

Poza tym szkoła podstawowa odczuwa tak dalece brak teatru klasycznego szkolnego, typu np. radzieckiego Teatru Młodego Widza, że wykorzystuje niedoskonałe przecież robotnicze spektakle sztuk „obowiązkowych” dla swojej młodzieży. Widzieliśmy salę świetlicową PZPB Nr 1 nabitą przez młodzież szkolną podczas przedstawienia „Zemsta” Fredry.

Nie chcemy tu oceniać tych zjawisk, a stwierdzić tylko ogromne i wielostronne dążenie do przeżyć artystycznych teatralnych w masach robotniczych, chłopskich i drobno-miejszczańskich.

Czynnik ten sprawia, że praca zespołów teatralnych robotniczych staje się ważna nie tylko jako praca kulturalna grupy, kształtująca styl życiowy, poziom umysłowy i zainteresowania artystyczne literackie poszczególnych członków zespołu, a więc nie tylko jako praca kulturalno-wychowawcza grupy, ale uzyskuje ważność obiektywną ze względu na osiągnięcia artystyczne, ich rodzaj, ich z kolei oddziaływanie społeczne. Ważne są — rzecz jasna — obie sprawy, być może że częściej lub nawet w znacznej mierze pokrywają się. Zajmijmy się jednak drugą sprawą, a więc nie dydaktyczno-wychowawczą funkcją pracy teatralnej dla samych zespołów, a sprawą realnych osiągnięć artystycznych teatru robotniczego.

Są one nierówne, a więc uogólnienie może wywołać słuszne zarzuty niesprawiedliwej i krzywdzącej oceny. Nie chodzi nam tu jednak o to lub inne przedstawienie — nie piszemy recenzji, jak np. zamieścił w Nr 25 „Dziennika Literackiego” Zdzisław Kwieciński — z pokazów teatrów ohotniczych na Kongresie Związków Zawodowych. Wydaje się, że samo „wywołanie z lasu” problemu teatru ohotniczego — będzie miało swoje małe znaczenie w okresie, gdy czynny udział mas ludowych w kulturze narodowej staje się sprawą tak doniosłej wagi, sprawa i dyskusyjna, i podlegająca publicznej ocenie.

Skoro jednak zaczniemy mówić o kierunku pracy teatrów ohotniczych i ich osiągnię-

ciach, wejdziemy w tylekroć dyskutowaną i bodaj nierozwiązaną sprawę — repertuaru dla teatrów ohotniczych.

Związki Zawodowe wydają specjalną bibliotekę teatru świetlicowego, gdzie obok jednoaktówek z literatury klasycznej, przeróbek scenicznych, powieściowych i nowel, stycznych mieszczą się też nowe specjalnie przez literatów napisane sztuki lub sztuczki.

Omówienie tej biblioteki repertuarowej teatru świetlicowego pozostawiamy na inną okazję. Już jednak przejrzenie jej zawartości zwraca uwagę na brak w niej lub bardzo nieznaczne uwzględnienie rodzaju montażu widowiskowego, czy wodewilu społecznego, form teatralnych, które zdawałoby się najbardziej odpowiadać możliwościom zespołu ohotniczego i sceny świetlicowej, często prymitywnej pod względem technicznym. Przeważają natomiast sztuki i sztuczki pełne — wymagające wyrobionych aktorów i wielkiej sceny.

Łódź nie posiada ani jednej wielkiej sali teatralnej dla teatrów ohotniczych. Mała scenka w domu Związków Zawodowych, nie posiadająca żadnych urządzeń teatralnych, nie jest wystarczająca. Nim powstanie teatr robotniczy, jaki jest w planie budowy Związków Zaw. — teatr nowoczesny i ogromny — zespoły muszą się gnieździć na swoich salkach estradowych. Cóż jednak robią? Wystawiają ogromne sztuki, wymagające sceny obrotowej, maszynierii do zmian dekoracji, a przede wszystkim aktorskiego wyrobienia. Tak np. PZPB Nr 8 wystawiły „Matkę” Gorkiego w adaptacji scenicznej i reżyserii młodego reżysera Sykały. Całość, przy nieustannych zmianach dekoracji, przy monumentalnych ustawieniach grup — wlokła się bez nerwu dramatycznego, aby ożywić się tylko na moment — a to właśnie w sztucznie wmontowanej scenie baletowej. W żywiołowym tańcu z rosyjskiego folkloru wielki zespół sceniczny ożywił się i rozruszał, wreszcie wiedział, po co zjawił się na scenie, wykonywał to, co było mu bliskie i bezpośrednio dostępne w przeżyciu, podczas gdy inne sceny były przeważnie reżonerskim recytowaniem ról. „Matka” Gorkiego mimo ogromnej wartości ideologicznej dla zespołu, który nad nią pracował, nie była scenicznym osiągnięciem, a powtórzenie w świetlicy przedstawienia przygotowanego z ogromnym nakładem pracy i realnych kosztów — nie jest w ogóle możliwe wskutek trudności technicznych. Znakomita powieść okazała się w tej adaptacji całkowicie niesceniczna i zawiodła, choć nie zawiodła publiczność fabryczna na jedynym spektaklu w Teatrze Wojska Polskiego.

Inne lecz podobne zastrzeżenie — obudziła np. „Zemsta” Fredry — pokazywana młodzieży szkolnej w PZPB Nr 1. Przedstawienie przygotował z wyraźną rutyną aktorską i reżyerską, z wyraźnym oparciem się o tradycję zawodowej sceny — aktor Teatru Powstanieckiego — Zygmunt Zintel. Osiągnięcia gry i dykcji w wygłaszaniu klasycznego

wiersza Fredry przez młodych chłopców — robotników budziły niekiedy podziw. Ale gdyby to nie teatr robotniczy, gdyby nie zapal młodzieży, gdyby nie głębokie przejęcie się każdą rolą — powiedziałoby się: szmira, straszliwa prowincjonalna szmira, którą chłono dzieci szkolne z VI, VII klasy, na której ucza się literatury polskiej i Fredry, którą wozł się chłopom razem ze skrzyniami tan-

detnych kontuszów, czamar szlacheckich i wydekoltowanych sukni, w które ubierają się na scenie aktorki — robotnice. Cóż tu jest nie w porządku — stwierdzamy przy całym szacunku dla inicjatywy i pracy w przygotowaniu tego rodzaju kulturalnych imprez. Czy nie tworzy się tu jakiejś osobnej sztuki dla robotników — nie prowadząc ich, lecz odcinając od dobrego teatru zawodowego (publicznego) robotniczego w Łodzi bardzo jeszcze opieszale uczęszcza do teatrów łódzkich, które dotąd należały do najznakomitszych teatrów w Polsce? Czy nie gra tu roli w kierownictwie podobnymi imprezami pewien snobizm robotniko-mański? Prawdliwy Fredro, prawdziwy Molier na scenie robotniczej. A w gruncie rzeczy ani Fredro, ani Molier, ani także Gorki — jeżeli nie założymy sobie ze względów swoistej filantropii kulturalnej niesamowitego minimalizmu artystycznego i koniecznego prowincjonalizmu amatorszczyzny teatralnej. W dążeniu do wyrugowania repertuarowej szmiry z teatrów robotniczych posunięto się do skrajności poglądu, że robotnicy na tym etapie wyrobienia mogą i nawet powinni grać wszystko, wszystko to, nad czym z wielkim nierzaz wysiłkiem pracować muszą fachowe zawodowe zespoły teatralne wyposażone nie tylko w techniczne, ale przede wszystkim intelektualne narzędzia opanowania sztuki. Posunięto się do skrajności, która nie wiadomo, czy podnosi świadomość i wyrobienie kulturalne zespołów robotniczych na tyle, aby równoważło to porażki osiągnięć artystycznych, teatralnych.

Właściwa droga repertuarowa dla teatrów ohotniczych powinna iść raczej po linii wyżycia się kulturalnego w treściach artystycznych, bliższych zespołom robotniczym i robotniczej publiczności, w treściach własnych i mogących w realizacji osiągnąć nie jakiegospecjalne, amatorskie umniejszone wartości — ale prawdziwe wartości sztuki.

Może jedną z dróg wskazywałby widowiskowy element folkloru — przede wszystkim polskiego, a potem i obcego. Dalej byłaby chyba droga dla ludowego wodewilu, rewili czy społecznego kabaretu — nazwy oczywiście przybliżone i orientacyjne.

Zapowiedź Min. Sokorskiego na Festiwalu Sztuki Ludowej o powołaniu do życia Centrali Teatrów Amatorsko-widowiskowych, posiadającej warsztat teatralno-wzorcowy — daje realne wreszcie nadzieje na zmianę dotychczasowej w rezultatach nie najlepszej polityki kulturalnej kierownictwa świetlic Zw. Zawodowych.

Jakub Wojciechowski

KARTKI Z KALENDARZA



Jakub Wojciechowski w Barcinie

Pracuję już ponad 50 lat, w różnych zawodach. Byłem już ceglarzem i palaczem na lokomotywie. Pracowałem jako górnik w Saksonii i Westfalii, robotnik portowy w Hamburgu. Łazikowałem jakiś czas jako pomocnik do krecenia karuzeli i prowadziłem wozy tramwajowe w Magdeburgu. Opuściłem kraj w 1899 r. dzieląc losy chłopów-emigrantów. Wróciłem w r. 1924. Odtąd pracowałem w Wapienniu. Po wojnie czynny byłem głównie jako sekretarz najpierw PPR, a później PZPR w Barcinie. Przeprowadziliśmy u siebie reformę rolną, referendum, wybory do sejmiku, ugruntowaliśmy autorytet partii robotniczej, szczególnie po zjednoczeniu. Ale nie było to łatwe. Historia ostatnich lat w małym Barcinie na Pomorzu toczyła się szybko, ale...

PIERWSZE KROKI

W 1945 r. założyliśmy pierwsze koło PPR w Barcinie, przy udziale 37 członków. Na drugim z kolei zebraniu, kiedy to zostałem wybrany członkiem miejskiej i powiatowej Rady Narodowej w Szubinie, uzyskaliśmy w partii ponad 100 nowych towarzyszy. Byli to przeważnie robotnicy z Wapiennia, którzy tam pracowali w kamieniołomach. Kiedy fabryki w Piechcinie i Wapieniu ruszyły na dobre, udało się bez trudu zorganizować tam koła fabryczne. A one same już wybrały sobie własne komitety. Na nas spadł obowiązek tworzenia gromadzkich kół partyjnych. Odbyliśmy szereg zebrań, przeważnie w pałacach byłych jasnie wielmożnych, i szeregi nasze nieustannie rosły.

Pracowałem w Wapieniu jako robotnik chyba ze dwadzieścia lat. Nie pomijam zatem w publicznych wypowiedziach faktów wzrostu robotnika w czasie kapitalizmu. Przypominałem słowa dra Ludwika Krzywickiego, jakie wygłaszał do nas — robotników różnych narodowości w Hamburgu, wykładając nam Marks'a i Engels'a. Nie pomijałem także słów Bebla i Liebknechta, których referaty miałem sposobność słyszeć. W roku 1911 na zebraniu tramwajarzy w Magdeburgu mówił Liebknecht, że zgina cesarze i królowie, książęta i szlachta, a lud pracujący odziedziczy całą ziemię i wszystko, co się na niej znajduje. Wskazał palcem na mnie i powiedział, że on się tego już nie doczeka, natomiast ja doczekam się na pewno. Tak się też stało...

PIERWSZE OPORY

Jakoś na krótko przed niespodziewanym zajściem, które chcę opisać, dostaliśmy zaproszenie na uroczystość poświęcenia sztandaru pułku stojącego w Inowrocławiu. Mój przełożony pojechał już w przeddzień, ja natomiast zostałem. Miałem zebrane partyjne w terenie. W nocy zbudziły mnie strzały. Sądziłem, że to ORMO ma ćwiczenia. Rano wpadł do mnie zdyszany kolporter naszej prasy i powiada, że lokal partii zdemolowany. Z twarzy widać było, że chłop nie żartuje.

Na ulicy 4-go Stycznia zatrzymał mnie któryś z obywateli dziwić się, że żyję. Słyszał bowiem, że Wojciechowski zabił tak sumiennie, iż więcej PPR-u nie ujrzy... Drzwi rozbite, teczki porzucone, telefon uszkodzony, kasa z pieniędzmi skradziona. Na szczęście nie było w niej zbyt dużo pieniędzy. Zmarł mi się poza wszystkim brakiem doskonałego pióra, jakie mi tak szczególnie sprzeniewierzała żona dra Boya-Zeleńskiego.

Nad biurkiem miał mój zwierzchnik pokój sygnalny. Sufit podziurawiony z broni maszynowej. Zaproszenie uratowało mu życie. Wziąłem się do młotki i gwoździ. Stolarkę znam i wspólnie z personelem doprowadziłem lokal do porządku. Do kancelarii przychodził ciekawym mieszczanie. Niejednemu mówił: na co wam to wszystko potrzebne na stare lata, po co się narażać? Odpowiedziałem, że od 1900 roku jestem w radykalnym ruchu robotniczym i nigdy tchórzem nie byłem. Cóż zatem byłbym wart i ja, i moja przeszłość, gdybym stehorzył w Polsce Ludowej?

NASZE MIASTECZKO

W naszym Barcinie 80 proc. domków zbudowali robotnicy, żeby nie jeździć 25 km do pracy w Wapieniu, jak się to zdarza ludziom z Szubina. Te domki budowali robotnicy, którzy odejmowali sobie od ust, by mieć dach nad głową. Te domki trzeba było reperować,

tymczasem smoła i lepik dochodziły do nas raz na dwa lata. Podobna sytuacja była z naszym domem, gdzie mieści się partia. Zaczęły powoli opadać sufity. Dom poniemiecki, lokatorzy płacił 12—15 zł miesięcznie. Znikąd pieniędzy. W ubiegłym roku zacząłem bić na alarm we wszystkie dzwony. Przepraszam, wszystkie dzwony zabrali nam Niemcy, tylko jeden w swoim kościele zostawił i nim się przy ważnych okazjach posługujemy.

Krzyczałem na wszystkich zebraniach i konferencjach powiatowych i wreszcie się udało. Dostałem polecenie zamówić majstra, magistrat powiedział, że pokryje koszty, pieniądze dała spółdzielnia „Samopomoc Chłopska”.

Pewnego razu przybył do nas inżynier budowlany i postawił sprawę budowy nowych domków robotniczych, bo będziemy się przecie uprzemysławiać. Po reformie rolnej dostaliśmy śliczne tereny pod rozbudowę miasta, ale jak dotąd jeszcze ich nie wykorzystaliśmy.

W ostatnich miesiącach udało się nasze miasto radiofonizować. Niemal każdy obywatel posiada w swym mieszkaniu głośnik. Należałem do komitetu elektryfikacji — zachęcałem ludzi, żeby nie odmówili założenia głośnika. Obywatele chcieli, zgadzali się, ale na posiedzeniu komitetu elektryfikacji każdy bał się podpisać weksel, bo kto podpisał, ten musiał sam zapłacić. Zdarzyło się, że przewodniczącemu komitetu elektryfikacyjnego zajęło jego maszynę do wiercenia dziur, którą wypożyczył kowalowi, za to — że nie zapłacił za głośnik. I tu znowu przy pomocy MRN udało się uzyskać zdjęcie pieczęci z maszyną. Dziś mamy prąd przeciągnięty przez całe miasteczko. Nasze miasteczko jest w trudnym położeniu. Wydatki wielkie, a dochody małe. W gazowni brak remontu od 8 lat.

PRACA I ZWIĄZKI ZAWODOWE

Po kilkumiesięcznej pracy w partii zauważyłem, że niemało młodzieży wałęsa się po ulicach Barcina bez żadnego zajęcia. Opracowałem specjalny referat, w którym zaznaczyłem, że Polska zniszczona w 80 proc. potrzebuje młodych rąk do pracy, a tymczasem całe gromady wystają na rynku bez zajęcia. Fabryka w Wapieniu już odbudowana i czeka, aby jak najwięcej ludzi się do pracy zgłosiło. Niektórzy przerywali mi referat, stawiali zarzuty w wolnych wnioskach, ale ostatecznie ulice zaczęły świecić pustką. I bezczynna młodzież zrozumiała, że obecnie nie będzie pracować w Wapieniu na dawne go jej właściciela kapitalistę i milionera. Tu muszę zaznaczyć, że Wapienna to jest historia naszego robotnika po wojnie. Robotnicy uruchomili fabrykę własnymi rekoma, na pierwsze wynagrodzenie czekali przeszło 3 miesiące. Gdy wszystko już szło pełną parą zjednoczenie zdobyło się na przystanie dyrektora, ale musiano go zawiesić w czynnościach z przyczyn, o których lepiej nie mówić. Następca jego prowadzi fabrykę dobrze. W ubiegłym roku dał robotnicy państwu 3 miliony zaoszczędzonych pieniędzy. Dziś biorą udział we współzawodnictwie pracy. Jeden z robotników tak wściekle odznaczył się w wydajności pracy, że Z. Z. mianowało go swoim sekretarzem na zakładach w Piechcinie i Wapieniu. Dziś obie fabryki posiadają swoje sale zebrań, biblioteki i czytelnie, orkiestrę, a co najważniejsze sprawnych robotników, którzy mimo ciężkiej pracy mają czas na kulturę, co dawniej nie było do pomysłu.

Jan Huszcza

Satyra i humor przed publicznością

Akeja, której tak szeroki rozmach nadała Spółdzielnia Wyd. „Ośw. „Czytelnik” pod zwolaniem „Autorzy wśród swoich czytelników”, a która w innych wypadkach nosi po prostu nazwę wieczorów lub poranków autorskich czy dyskusyjnych — miała dwa cele: zlikwidowanie anonimowości odbiorców słowa drukowanego — z jednej strony, a z drugiej pokazanie temu odbiorcy żywego autora, rozproszenie panoszącego się jeszcze do niedawna młodopolskiego mitu o jakimś jakoby beczelności, wyrwanym z otoczenia, twórcy.

Ponieważ — jak dotąd — miałem dużo występów autorskich, lecz prawie wyłącznie w Łodzi, zaś poważniejszy wyjazd w teren zdarzył mi się zupełnie niedawno, niestety, nie umiem oprzeć się pragnieniu napisania o tym, żywiąc przy tym cichą nadzieję, że coś z tego opisu przyda się dla wyciągnięcia wniosków ogólnych.

W Nowym Mieście nad Pilicą, gdy — ku żywemu, jak mi się wydawało, żalowi słuchaczy — zakończyłem wreszcie czytanie felietonów, humorów i wierszy i próbując nawiązać rozmowę, zwróciłem się jak zwykle, z prośbą o stawianie pytań — ktoś do wzięcia odpowiedział, że się boi, no, bo na razie się ewentualnie satyrykowi nie jest rzeczą bezpieczną: a nuż, albo tu na sali, albo przy innej okazji wykipi pytającego?

Wtedy musiałem coś niecoś opowiedzieć o tym: jak należy rozumieć i jak rozumieć rolę i zadania satyry.

Wyglądało to mniej więcej tak: Praca pisarza satyryka ma wielkie znaczenie społeczne. Nie ma nic wspólnego z beztroską zabawą w „zjeżdżanie”. Chodzi takiemu pisarzowi o wyszydzenie demonstrowania świata ujemnych wartości, świata, ludzi, z którymi jesteśmy w walce klasowej. To zjadliwe, bo jowe demonstrowanie przez satyrę uczy szybko ujemnych ludzi czy ujemne zjawiska życiowe dostrzegać i poznawać. Pisząc, staram się przedstawić zjawiska, będące w mniejszym lub większym stopniu typowymi. Demaskowanie pojedynczych faktów czy też poszczególnych osób to już raczej rzecz dziennikarza, rzecz prasy, docierającej do szerszego czytelnika, ukazującej się w różnych miastach, ba, nawet miasteczkach (choćby w formie mutacji).

Ze uogólnianiem osiąga zamierzony cel, o tym przekonałem się — choć właściwie nie potrzebowałem się przekonywać — w godzinę później. Mianowicie, gdy w liczniejszym towarzystwie, — owiani ciepłym, wilgotnym zmierzchem majowym — wyszliśmy na spacer, jeden z moich rozmówców nachylał się do mnie i szeptał:

— Ależ dobrze go pan przedstawił!

— Kogo? pytam z nutą tzw. zdziwienia w głosie.

— No, tego... tego... (tu wymieniono nazwisko jednego z miejscowych działaczy)...

— Panie — odpowiadam — przecież ja go nigdy na oczy nie widziałem, a w waszym mieście jestem po raz pierwszy, choć absolutnie nie chcę przez to powiedzieć, że po raz ostatni.

— Wiem, że go pan nie zna... Ale...

W rozmowie tej chodziło o felieton pt. „Sodowiarze”. Felieton na temat tych ludzi, którym ze względu na stanowisko uderza do głowy tzw. woda sodowa. Felieton ten czytałem nieraz, czytałem go na prowincji, czytałem go w grudniu ub. roku w Łodzi, w b. Włdżewskiej Manufakturze, przed kilkoma tysiącami robotników, w Państwowych Zakładach Sztucznego Jedwabiu w Tomaszowie Mazowieckim. I zawsze żywo

wie Mazowieckim. I zawsze żywo śmiech, przerywające czytanie okłaski. A więc już sam temat! I tu konkluzja: śmiech i żywość reakcji budzi artystycznie opracowany temat bliski szerokim rzeszom. „Humor czysty” (humor czy satyra, mniejsza o to: granica jest tak płynna, że trudno odzielić te pojęcia), „chwyt” gorzej, a wcale „nie chwyt” humor, przeniesiony ze środowiska kawiarnianego, humor poprzetykany nazwiskami ze środowiska autora.

Cenię różne formy satyry i różną jej treść, różne odcienie, od polityczno-społecznej poczynając a na (żeby nie wdawać się w szczegółowe wyliczenia) obyczajowej kończąc. Sam w skromnym zakresie również próbuję różnych form i różnych chwytów. Chodzi mi jednak w tej chwili o pewne niezdrowe, rzucające się swoją jaskrawością w oczy, przerosty, o zbyt wąski krąg tematów, uprawianych przez niektórych utalentowanych kolegów...

Na łamach naszych bardzo niekiedy popularnych tygodników i gazet panoszą się humor, będący właściwie publiczną grzesznością korespondencją między literatami.

Panoszą się również utwory, stanowiące jeszcze jedną wersję na temat „trójkąta małżeńskie”, „pani modnej” czy „przepełnionej wótrbki”. Dla kogo to? Bo ja wiem, trudno mi odpowiedzieć: chyba już nawet i nie dla mieszczańskich odbiorców. Niektórzy autorzy po prostu nie bardzo jeszcze zdają sobie sprawę z tego, czym jest w naszej rzeczywistości satyra, czym humor, walczący o nowego człowieka, o nową obyczajowość. Nie bardzo sobie zdają sprawę, albo też — zdają, lecz na razie nie umieją wybrnąć z zakłętego kręgu, nie umieją znaleźć innej, bliższej życiu szerokości mas tematyki, nie umieją odświeżyć środków wypowiedzi...

Ciągle jeszcze bujnie pleni się u nas kalambur (palmę pierwszeństwa tradycyjnie trzyma Kraków, miasto nie dających się ongiś bez zdenerwowania czytać „Wróblu na dachu”). Kalambur — to najbardziej bezpłodna, jałowa i donikąd nie prowadząca igraszka. Zastrzegam się: miła niekiedy igraszka, lecz — na lzy burmistrza Rzeszowa, — czas pohamować jej nadużywanie!

W Tomaszowie Mazowieckim wiceprezydent miasta, gdyśmy wyszli z domu kultury, wyrecytował satyryczny wiersz Brzechwy. W Nowym Mieście nauczyciel matematyki z tamtejszego gimnazjum, jak się okazało, umiał na pamięć dziesiątki satyrycznych wierszy Tuwima. Nie pamiętam już gdzie, pytano mnie o Zygmunta Fijasa.

O co chodzi? Chodzi o to, że satyryków, jak dotąd, najrzadziej wysyła się w teren. A, bo są za trudni — słyszy się tu i ówdzie. Ciągłe jeszcze panoszą się w redakcjach, w instytucjach kulturalno-oświatowych Dulsy demokracji. To oni uważają, że inna musi być literatura dla robotnika, inna dla chłopca, inna dla inteligenta.

Burmistrz Nowego Miasta, człowiek awansu społecznego, opowiadał mi o wrażeniu, jakie odniósł słuchając pewnej mojej, jak mi się wydawało, dla inteligencji zawodowej napisanej humoreski. Rozumiał jej dowcip i intencję tak jak i ja to rozumiałem. I jeszcze co mi mówił ów burmistrz, gdyśmy schodzili schodami tamtejszej szkoły powszechnej. Ze właśnie dwa czy trzy lata temu on te schody jako stolarz robił, że — bo żartem teraz jedna z nauczycielek apelowała do niego o fundusze na ich remont — dobrze o tych schodach pamięta. Pamięta, gdyż sam bardzo chciałby teraz mieć siedem lat. Gdy,

ZJEDNOCZENIE PARTII ROBOTNICZYCH

Na naszym terenie istniała PPS jeszcze przed wojną i obudziła się w dwa lata po jej zakończeniu. Pierwszy jej założyciel rzadko kiedy był trzeźwy, aż w końcu dostał się za kraty więzienne za to, że przekroczył siódme przykazanie. Jego miejsce objął pewien kolejarz. Odtąd wpływy lewicy w PPS-ie znacznie się wzmożyły. I chociaż trudności w nawiązaniu współpracy z naszą partią jeszcze były, to jednak z dnia na dzień opory malały.

W czasie, kiedy już było wiadomo, że obie partie mają ściśle współdziałać, a w niedługim czasie połączyć się, zostałem zaproszony na plenarne posiedzenie PPS. Jako gość przysłuchiwałem się ciekawie obradom. Gdy mówiono o zbieraniu pieniędzy na sztandar — poprosiłem o głos. Postawiłem propozycję, żeby się wstrzymać ze składką na sztandar, bo obie partie będą niebawem połączone, chcemy mieć przecież jednolitą klasę robotniczą. Większość rozumiała już doniosłość i potrzebę zjednoczenia ruchu robotniczego, a tylko nieliczni z uczestników przyjmowali moje słowa śmiechem.

Po jakimś czasie sprawa współpracy ruszyła. Kosztowało nas wiele trudów rozpoczęcie wspólnej pracy. Trzeba było oczyścić szeregi. Kogóż z nich nie było? Po usunięciu prawicowych elementów w PPS-ie obradowaliśmy już wspólnie. Nadchodzący bowiem nowe prace, zdarzało się nieraz, że dni i noce przesiadywaliśmy rozważając metody rozwiązywania rozmaitych zadań, które też wspólnymi siłami wykonywaliśmy.

Obie partie połączyły się uroczystie i od szeregu miesięcy mamy w Barcinie Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą.



rys. S. Cieloch

by je miał, to by mu obecny czas pozwolił na normalne ukończenie szkół, na co nie pozwolił mu czas jego dzieciństwa, jego młodości.

Satyra pomaga prowincji krytycznie rozejrzeć się w swoim otoczeniu, skrytykować samych siebie, odprężyć. (Niedobrze, że występy autorskie odbywają się w dni powszednie, a źle, że czasem w godzinach zaledwie popołudniowych, ale to wina trudności technicznych, m. in. komunikacyjnych)...

Ludzie nowi, ludzie awansu społecznego, jakże często naprawdę doskonale rozumieją swoje zadania. Np. burmistrz Rawy Mazowieckiej biada nad nieżywnością tego bardzo przez wojnę zniszczonego miasta. Marzy o przemysle. Nie tylko marzy, ale już konkretnie zamierza, wspólnie z innymi, spróbować hodowli drzewek morworowych.

W powiecie rawsko-mazowieckim — jak informował inspektor szkolny ob. Strojowski — zelektryfikowano i radiofonizowano 10 wsi. W powiecie zorganizowano 20 przedszkoli, w tym znaczna ich część przypada na wsie: wymowne, a zupełnie nowe wydarzenie!

W Tomaszowie jakiś uczeń — syn chłopski — zapytał mnie o moich wiejskich słuchaczy. Zawstydzilem się... Niestety, musiałem szczerze się przyznać, że o tych nie mi nie wiadomo, nigdy mi się nie zdarzyła okazja spotkać z nimi. Wierzę, że się zdarzy. Byłoby to nowe doświadczenie autorskie, tak bardzo ważne, bo doświadczenia wynikające z kontaktu osobistego z czytelnikami — jak się okazuje — należą do bardziej cennych i pouczających, niż niejedna recenzja czy kawiarniana dyskusja.

W NUMERZE 27 (206) TYGODNIKA „WIES” z dnia 3 lipca 1949 r.

Witold Łukaszewicz — Pierwsze echa socjalizmu naukowego w prasie polskiej 1846 roku; „O położeniu klasy wyrobniczej w Anglii”. Tadeusz Kubiak — But Generała; Jan Szczepański — O orientację w rozwoju kultury na wsi; Piotr Wyrobek — W roku Mickiewicza; Stefan Ignar — Droga naszą — spółdzielczość; Wanda Leopoldowa — O naukę i prawdę; Jadwiga Iwanowska — Szkoldiwa popularyzacja; Władysław Ozga — Budownictwo szkół wiejskich; Józefa Witkowska — Pamiętnik służącej; Stanisław Cieślak — U progu pierwszej sześciolatki w rolnictwie; Wiesław Jażdżyński — Zyciorys górników; Józef Pogan — „Krytyka miłujaca”... wrogów?; Marian Nowakowski — Jeszcze o wyższych studiach korespondencyjnych; Fakty i zdania; 16 ilustracji, 12 stron.

Leszek Kołakowski

NAUKA PRZED SĄDEM
OBSKURANTAczyli ks. Rostworowski unicestwienia
wiek XX

Majowy numer „Przeglądu Powszechnego” opublikował dzieło ks. J. Rostworowskiego pt. „Początek pierwszego człowieka w świetle objawienia i katolickiego poglądu na świat”. Jest to praca prawdziwie nadprzyrodzonej wnikliwości. Jako okaz katolickiego obskurantyzmu — isticie nieporównana. Myśliciel, głowiąc się nad starym konfliktem między nauką i baśnią biblijną o stworzeniu człowieka, konfrontuje orzeczenia obu i niefrasobliwie odrzuca z nauki wszystko, co kłóci się ze słowem Bożym.

Najpierw biada, że katolicy uczeni nie bardzo są skorzy do wierności objawionej legendzie i że „gromadka uczonych, tych zwłaszcza, co z paleontologią i paleoantropologią więcej mieli do czynienia, nie oparła się pokusie czy to złudnym oczywistości „naukowych”, czy sugestii efektywnie skonstruowanych teorii”; inni nieszczęśliwcy, jak powiada, „usiłują wprawdzie trzymać się pewnych nieprzekraczalnych granic prawd, czy to nieomylnie określonych, czy teologicznie pewnych, ale, mimo szczerzych zapewnień prób i wysiłków, nie mogą swoich teorii szczęśliwie przeprowadzić przez ciemny niewątpliwie katolickich zasad” (str. 310).

A przecież... „musimy... wykluczyć... supozycję, że ludzie nie tworzą jednej rodziny, pochodzącej od jednej jedynej pary, ale, że pojawiali się na ziemi w różnych miejscach i czasach, jako owoc ewolucji różnych gałęzi wielkiego drzewa organicznego życia”; błędność tego mniemania jest dowiedziona ponad wątpliwość, gdyż ono „nie da się żadną miarą z katolickimi zasadami pogodzić”.

Po przyjęciu tej bezspornej prawdy stwierdza autor, że skoro człowiek narodził się z małpy, Bóg mógł z nim postąpić dwojako: albo zmienić radykalnie jego ciało na swojskie ludzkie, dając przez to duszy „odpowiednie do godności człowieka materialne jej mieszkanie, albo zostawić je na tym stępcu, na jakim służyło dotąd czyste zwierzęciu pierwotnemu życia”. Otóż, zapytuje autor, jeśli przyjmujemy pierwszą ewentualność „czy da się rozumnie uzasadnić ogromny i wieloraki cud unicestwienia formy zwierzęcej, przekształcenia urobionego przez nią organizmu i wiania w ten organizm duszy ludzkiej? Chyba samo nasuwa się pytanie: Cui bono? Czy taki proceder — miał lepiej odpowiadać mądrości Bożej? Czy był lepiej dobrany do uwidocznienia godności człowieka i jego, tak silnie zaznaczonej w objawieniu, odrębności od zwierzęcia? Jeśli jednak pozostawiamy mu takie ciało, jakie powinien byłby mieć zgodne ze świadectwami nauki, wówczas miałby „wygląd zupełnie małpy, mózg o połowę prawie mniejszy od dzisiejszego człowieka, wagi niezdolne do wydania ludzkiej mowy”. A jednak, pierwszy człowiek — „jak wiemy z dogmatyczną pewnością(!)” nie tylko nosił w swej naturze obraz i podobieństwo swego Stwórcy, ale stworzony od pierwszej chwili w łasce nadprzyrodzonej, posiadał uczestnictwo „Bożej natury”, był i wedle ciała nieśmiertelny”, wobec czego musiałby być piękny, cieleśny, a „jeżeli... chodzi o piękność ludzka jako taką, nie jest prawdą, żeby normy tej piękności były czymś zupełnie względny” (coż za język niezdarne!).

Cóż jednak począć z wykopaliskami, które ukazują nam człowieka pierwotnego, zgola niezgodne z informacjami ducha św.? Nie stanowi to dla księdza najmniejszej przeszkody. To tylko nauka! Zaś uczeni, którzy bronili jej postulatów „zapomnieli... że po nad biologią mamy inne, bez porównania pewniejsze dane (podkr. LK), dotyczące początków i dalszych dziejów ludzkiej rodziny. Oto przez ludzkosc, w osobie jej pierwszych rodziców — jakkolwiek pojmemy ich pojawienie się na świecie — przeszła ta straszliwa katastrofa, która nosi miano pierwotnego grzechu. O tym grzechu zaś mówi określony dogmat wiary, że przezeń pierwszy człowiek „co do ciała i co do duszy odmienił się na gorsze”.

A więc wykopaliska, to wynaturzenia, jakim uległ człowiek wskutek grzechu pierwotnego! Toteż, jak trafnie stwierdza autor, „dopóki nie obali się fakt, którego obalili niepodobna, że grzech pierwotny, jak stwierdza cała nauka katolicka, wykołubił ludzkosc z dróg zdrowego rozwoju i popchnął ją w dół do moralnego najpierw, ale zarazem i do fizycznego poniżenia, dopóty z danych znalezisk nic nie można wywnioskować o początku i wyglądzie pierwszego człowieka”. No bo, proszę, nauka jest bezczelna! „Sama logika systemu pcha ewolucjonistów do tego, do czego mają zresztą serdeczną ochotę, tj. do zaliczenia między bajki, wbrew całej nauce katolickiej, prześlicznej i głębokiej opowieści biblijnej, o początku pierwszej niewiasty. Ale gdyby to było dopuszczalne, cóżby nam zostało z ksiąg Mojżeszowych, jeślibyśmy zaczęli to z tych, to z innych powodów, a powodów nigdy nie braknie (wreszcie zdanie, któremu niesposób odmówić słusności! LK) wyrzucić z nich kartę po kartce?”

Oszczędzmy przytaczania wywodów o stworzeniu kobiety z zebra adamowego, w której to sprawie „od literalnego znaczenia tekstu odstępować katolikom nie wolno” (miłosierdział). Dowiadujemy się jeszcze z dzieła, że bóg „jedne plemiona lub ich części, za ciężkie przewiny dotykał karą, a niekiedy skazywał i na zagładę...” zaś „inne narody dźwigały w górę, wytworząc w nich typ ludzi, wyższy, niż u innych ludów im współczesnych”. Mamy więc i Herrenvolk w es-

Ciekawe, ale nie dziwi

Może kto z czytelników chce się zorientować we współczesnym życiu religijnym Polski i świata? Nic łatwiejszego, jak zajrzeć do „kroniki religijnej” „Tygodnika Powszechnego”.

W ostatnich „Faktach i Zdaniach” „Więść” poruszyła tylko sprawę „katolickich przedsiębiorców” (a jednak: osobno związek „katolickich” przedsiębiorców i osobno „katolickich” robotników). Przecież jednak podobnych — nie religijnych zapisków kronikarskich znaleźć można w „T. P.” dużo więcej.



Oto nota o rozwodach w USA... oto wzmianka o „demonologii” Ludendorffa (który został poddany działaniu trzech nadnaturalnych sił: Żydów, jezuitów i masonów) — wzmianka niby ironiczna — ale cóż z tego, kiedy wygląda na relację o książce Winifreda Martiniego „Legenda domu Ludendorffa”; oto znowu triumfalne odkrycie wikariusza apostołskiego w Kiwii, mgr. Ryszarda Cleire, który ogłosił „ostre i stanowcze list pasterski przeciw wyszkowi pracy ludzkiej w koloniach afrykańskich”, że „sprawiedliwość społeczna jest potrzebna w Afryce tak samo jak w innych częściach świata”... (patrzcie państwo — ale listu o położeniu robotników francuskich, angielskich, polonocno- i południowo-amerykańskich żaden wikariusz nie ogłosił, widocznie to „współczucie” dla biednych robotników ma też swoje granice...), itp. itp.

Ciekawy jest dobór... kroniki religijnej. Czy dziwiłaby w zestawieniu z... Ludendorffem np. — wzmianka o procesie Doboszyńskiego?

Czytelnik

Na tropie...

Powojenna powieść chłopka nie znalazła dobrego przyjęcia u p. Lichniaka, krytyka literackiego i laureata tygodnika „Dziś i Jutro”. Stawia on jej tysiąc i jeden zarzutów, kierując się przy tym chrześcijańską troską, że powieść chłopka winna stać się „prawdziwym dziełem sztuki”. A tymczasem w artystycznym odczuciu krytyka książka Gałaj, Pięta, Pogana to... „kiczowate bohomyzy”. Ani w nich kompozycji, ani porządku nie poprowadzonej akcji. Dla Lichniaka jest źle, gdy Gałaj pokazuje chłopów roztrząsających kwestie polityczne, no bo przecież byłoby właściwie, gdyby nadal roztrząsali tylko... gnój. Ale dla Lichniaka jest także źle, gdy Pogan poprzestaje na suchym opisie zdarzeń, no bo powinien przecież opratrzyć je politycznym komentarzem. Jak tu krytykowi dogodzić? Otóż można. Autorzy powinni zrozumieć, że powieści swoje źle pisali dlatego, ponieważ wychodzili z błędnego założenia, mianowicie — „socjologicznej koncepcji człowieka”.

Krytyk sugeruje, że dzieła ich miałyby zupełnie inny walor literacki, gdyby pisarze chłopscy starali się oddać w swoich utworach „pełnię człowieczeństwa rozumianego personalistycznie”. Na czym to ma polegać,

okazałoby, i to z bożej łaski. Radziłobyśmy tylko wiedzieć, które to spośród narodów współczesnych są taką siłą nadziemską dźwigniętą w górę? Może ks. Rostworowski odpowie na to w sposób apolityczny?

Ale autor pojęł się mistyczną wiarą w możliwości zniszczenia bezbożnictwa wiedzy naukowej: „ufamy też — powiada — że nie niebawem ewolucjonistyczna gorączka w sprawie pochodzenia ludzkiego ciała... a nad kolebką ludzkości świecić będzie nadal jak świeciło od trzydziestu kilku wieków to wspólne słowo najstarszej z Ksiąg natchnionych...” Dodajmy, że ideały pobożne zostały już tu i ówdzie zniszczone. Np. w Hiszpanii. Tam przyświeca narodowi wyłącznie słowo boże, objawiane przez kościół i jakoś szczęśliwie minęła ewolucjonistyczna gorączka.

Całość? Nil novi. Zwykłe zwyrodnienie umysłów, po kościelnemu wynaturzonych. Ale jest druga strona tej sprawy. Tacy ludzie przecież zajmują się nauczaniem młodzieży.

L. Kołakowski

tego Lichniak nie precyzuje dokładniej w swoim końcowym artykule o powieści chłopskiej („Dziś i Jutro” Nr 26). Czytelnik chce sobie trochę sprawę wyjaśnić sięga po „Tygodnik Powszechny” w nadziei, że tu znajdzie jakąś ilustrację katolickiego systemu oceny literatury. W ostatnim numerze 26 natrafia właśnie na recenzję o książce Betty Macdonald „Jajko i ja”, podpisaną literami Zms. O książce wspomnianie dowiadujemy się, że jest ona „dobrze pisana”, że recenzent czytał ją z prawdziwą przyjemnością. Dzięki jakim walorom zdobyła przychylny sąd krytyka? Mówi on o niej, że jest „jedynie wesoła, beztroską opowieścią o przygodach kobiety i jej pimiarskiej walce z kuchnią, praniem, prasowaniem i zapasami”. Sprawa dla nas zaczyna się wyjaśniać. Jesteśmy powoli na tropach rozumienia, na czym polega oddawanie „pełni człowieczeństwa rozumianego personalistycznie”.

M. K.

Na chwałę przyjaźni

Amerykanie mają obecnie okazję oglądania w New Yorku bardzo ciekawej wystawy przemysłu niemieckiego. Ekspozycja wystawia 511 firm niemieckich, między nimi koncern I. G. Farben, którego fabryki miały być, jak wiadomo, zdemontowane. Ale nie tylko I. G. Farben. Także przedsiębiorstwa konfekcyjne Lodenfrey — dawny dostawca Gestapo i znana firma win szampańskich Henkel — własność Ribbentropa (obecnie jego żony). Wystawie patronują generałowie Clay, Robertson i Koenig, którzy w organie giełdy nowojorskiej — „Journal of Commerce” — poświęcili odbudowującemu się przemyślowi niemieckiemu sżniste artykuły, z których wynika jasno, jak dalece państwa anglosaskie pogwałciły uchwały poczdamskie. Dziś goszczą Amerykanie 300 przedstawicieli odbudowującego się przemysłu niemieckiego, którzy przepłynęli Atlantyk dla uczczenia przyjaźni amerykańsko-niemieckiej.



Ale nie z samych przyjaciół dawnych hitlerowców składa się naród amerykański. Przy wejściu do Rockefeller Centre, gdzie odbywa się wystawa, manifestowali i manifestują członkowie ruchu demokratycznego. „Ile dacie za abażur ze skóry ludzkiej, wykonywany przez Ilzę Koch?” „Nasi synowie nie polegli po to, by Ameryka odbudowywała Niemcy hitlerowskie” — takie napisy nieśli manifestanci. Prasa demokratyczna przypuszcza, że po wystawie przemysłu niemieckiego, zorganizuje Wall-Street wystawę zbrodni niemieckich, Rzeczywiście, z dotychczasowej polityki amerykańskich kapitalistów — tak by wynikało.

D. D.

Rzekome niezangażowanie

Ponieważ szereg polskich pism katolickich wspominało częstokroć z nietajonym zachwytem o „La vie intellectuelle”, sięgnąłem do tego periodyku, szukając źródeł natchnienia naszych rodzimych religiantów. Przyznaję, zajmowałem się głównie artykułami politycznymi, ale nie żałuję tego. Były bardzo pouczające. Otóż w numerze czerwcowym owego miesięcznika niejaki pan Viatte zajmuję się sytuacją w Chinach. Robi to „obiektywnie”, broń Boże nie entuzjastycznie, się planem Marshalla, nie podziwia osobowości Dean Achesona. Stoi na stanowisku trzeciej siły. Ani komunizm, ani kapitalizm. Ale ta żonglerka nie wychodzi. Publicysta traci pod koniec swe rzekome niezangażowanie. Widzi w zwycięstwach chińskiej armii ludowej groźbę „dla wolności całego świata”. Czyje wolności p. Viatte? Całego świata? A czy nie przypadkiem szczupłych grup wielkich kapitalistów. Im tylko gwarantował wolność uciemiężony proletariatus chiński, ugniatany przez władzę Czang-Kai-Szeka.

A. M.

Przyszła kryska...

27 czerwca Federalny Zarząd Rezerw podał do wiadomości, że poziom produkcji przemysłowej w Ameryce uległ w ciągu maja obniżeniu o 5 punktów, w porównaniu zaś z rokiem ubiegłym o 21 punktów. Na najbliższą przyszłość Federalny Zarząd Rezerw przewiduje dalszą obniżkę produkcji.

„Journal of Commerce” charakteryzuje obecny stan przemysłu ciężkiego (przede

wszystkim stalowego) jako „jeden z najbardziej gwałtownych upadków w historii przemysłu stalowego, który już od dawna znany jest — gwałtownych wahań popytu i podaży”.



Równolegle powiększa się liczba bezrobotnych i liczba bankructw. Spółka „Duntfand Bredstreet” donosi, że w ciągu pięciu miesięcy br. zbankrutowały w Ameryce 3.753 firmy w porównaniu z 2.080 w odpowiednim okresie roku ubiegłego.

Wiadomości te nie wymagają komentarzy. Są niedwuznacznym dowodem zbliżającego się kryzysu gospodarczego.

R. G.

Jest tyle do zrobienia

Urodziłam się 5.II 1922 r. we wsi Godzianów. Siedmioosobową szkołę powszechną skończyłam w tutejszej wsi. Chociaż byłam zdolna i chętna do nauki, uczyć się dalej nie mogłam, gdyż ojciec mój był tylko kowalem i z trudem zarabiał na utrzymanie rodziny składającej się z pięciu osób. Toteż zamiast do szkoły, poszłam na służbę. Mając szesnaście lat wyszłam za mąż za biednego chłopaka z sąsiedniej wsi. Do roku 1946 mieszkaliśmy z rodzicami. W tym roku postawiliśmy sobie dom, w którym nareszcie po ludzku mieszkamy. Ziemi nie mamy. Mąż dostał pracę w Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska w Godzianowie, zarabiając 9.200 zł miesięcznie (do otrzymania tej pracy dopomógł mu artykuł kol. Mozgi zamieszczony w czasopiśmie „Więść”). Dzieci mamy dwoje.

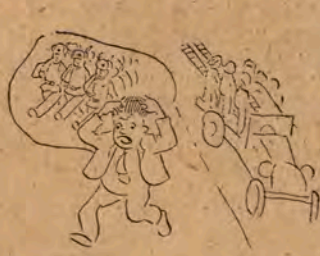
Bardzo często zastanawiam się nad tym, dlaczego jedni ludzie mają wszystkiego w bród chociaż sami nie pracują, a drudzy muszą się napracować i końca z końcem nie mogą związać. Dlaczego bogaty jest zawsze mądry a biedny głupi i wyśmiewany? Pytań tych byłoby bardzo dużo. Chcąc dać sobie na nie odpowiedź postanowiłam się uczyć, chociaż w moich warunkach nie jest to łatwe. Mimo wszystko nauka idzie mi jakoś naprzód. Uczę się korespondencyjnie. Gdy czasem nie mogę czegoś zrozumieć, to zwracam się do profesorów lub uczniów tutejszego gimnazjum, a oni mi chętnie udzielają pomocy. Po zdobyciu wiedzy pragnę wziąć czynny udział w pracach społecznych, od których u nas we wsi kobiety są odsunięte. Uważam, że i kobiety winny na równi z mężczyznami wziąć swoje sprawy w swoje ręce. Jakże dużo jest na tym polu do zrobienia! Gdy się na wsi dowiedzieli, że ja się uczę — podśmiewali się ze mnie. Lecz ja się nie boję złośliwych przycinków, ani głupich uśmiezków i wprawdzie wolno lecz twardo stawiam kroki naprzód. Nie chcę być głupsza od moich dzieci, które też muszą się uczyć, aby wyjść na światłych obywateli.

Zofia Maratowa

Godzianów, woj. łódzkie

Casus Forestal

Przed niedawnym czasem, jak wiadomo, zwirowało w Stanach Zjednoczonych ministerstwo wojny — Forestal. Przyczyną szaleństwa była mania wojenna: Forestalowi zdawało się, że wojska radzieckie wkraczają na terytorium Ameryki. Niewinne auto strażackie zamieniło się w jego umyśle w czołg radziecki.



Casus Forestala znajduje coraz więcej naśladowców.

Otóż Agencja United Press podaje wiadomość o nowym przypadku pomieszczenia zmysłów. Senator Wyley w Stanie Wisconsin zażądał patrolowania lądowych, morskich i powietrznych granic USA w celu uniknięcia penetracji, jak oświadczył — „radzieckich agentów uzbrojonych w broń biologiczną i atomową”.

Te wiadomości celowo szerzy prasa amerykańska. W tym oczywiście celu, by otumaniać naród amerykański. A Amerykanie — jak wykazują protesty przeciw polityce paktu atlantyckiego i licznych postępowych organizacji amerykańskich — coraz mniej wiary dają oświadczeniom swej prasy.

Tymczasem zaś psychoza wojny zatruwa samych podlegaczy wojennych. Casus Forestal powtarza się.

M. N.

Sprostowanie

W poprzednim (28) nrze tygod. „Więść” na str. 12, w nocie zatytułowanej „Podwójny doktor honoris causa” był błąd zezerski; zarówno w tytule jak w treści winno być: honoris causa.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Piotrkowska Nr 133, telefon 100-98.

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOSKIEJ.

REDAKCJA REKOPISÓW NIE ZWRACA.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, Piotrkowska 133, telefon 100-98.

Warunki prenumeraty:

miesięcznie 80.— zł; kwartalnie 240.— zł; półrocznie 480.— zł; rocznie 960.— zł.

Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII—1080.

Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” — Łódź, ul. Zwirki 2.

D-04404